Miesięcznie 1 zł. prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 12 kwietnia 1936 r. Nr. 15



WESOŁYCH ŚWIĄT!

Radością serca dziś dzwonią,
Wiosna jest w każdym uśmiechu,
Tyle dziś szczęścia dokoła,
Tyle prawdziwej uciechy.

Każdy cię sercem powita
I do uścisku dłoń poda,
Bo słońca złote promienie
Radość zrodziły i zgodę.

Nawet serduszek dziecięcych
Iszczą się skryte marzenia;
Oczęta płoną z zachwytu
I usta drżą ze wzruszenia.

Niechaj na krańce dziś świata,
Z odgłosem dzwonów uleci
Moc życzeń i w sercach ludzi —
Nadzieją złotą zaświeci.

Celina Lewandowska.

MARJAN BRONISŁAWSKI

15)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

— Jakiż to interes macie panowie do Gerbera? — odparł mężczyzna z za bufetu, mierząc podejrzliwie pytającego.

— Nic nadzwyczajnego, ale w każdym razie interes na tyle ważny, że tylko samemu panu Gerberowi możemy powiedzieć.

— Tak... W takim razie możecie śmiało mówić, gdyż Gerber stoi przed wami.

Stefan obejrzał się dokoła i wskazując wzrokiem siedzących przy stoliku dał do zrozumienia Gerberowi, że nie chciałby mówić przy świadkach. Przebiegły szynkarz odrazu zrozumiał i rzekł:

— Ale tu niewygodnie i ciągle ktoś przeszkadza. Może panowie przejdziecie do mojego prywatnego mieszkania! Zaraz za temi drzwiami jest osobny pokój, w którym mieszkam. Tam możemy pomówić swobodnie i bez obawy przeszkodzenia. Proszę bardzo.

Otworzył drzwi i ruchem ręki zaprosił Wintersa do wejścia.

W pokoju tym było równie brudno jak w sali szynku. Na środku stał stół, przykryty ceratą w kwieciste wzory, pod ścianą szerokie łóżko, zarzucone niedbale kapą uszytą z kolorowych kawałków materjału, a cztery krzesła oraz stolik z lustrem i przyborami do golenia dopełniały umeblowania prywatnego apartamentu Gerbera.

Zamknąwszy drzwi za sobą, Gerber wskazał przybyszom krzesła, sam usiadł i zapalając trzymany w zębach kawałek cygara odezwał się:

— No, proszę. Tu możemy pomówić spokojnie. Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, kto panowie jesteście, a następnie, co panów do mnie sprowadza.

— Ja nazywam się Stefan Lubicz, — odparł Stefan — a to jest pan Winters, który niedawno przybył z Ameryki Południowej.

— Bardzo mi przyjemnie...

— Sprawa zaś, w której przychodzimy, dotyczy pewnego zdarzenia, które miało miejsce przed kilkunastu laty. Dla pana sprawa ta może nie przedstawiać żadnej ważności, dla nas jednak jest niezmiernie ważna. Czy zechce pan odpowiedzieć nam szczerze na kilka pytań?

Gerber przyjrzał się uważnie Stefanowi, przeniósł badawczy wzrok na Wintersa i po chwili namysłu rzekł:

— To zależy od tego, jakiego rodzaju będą te pytania. Proszę, niech pan pyta.

— Panie Gerber — zaczął poważnie Winters. — Czy przypomina pan sobie z dawnych czasów nazwisko Burski? Lat temu blisko szesnaście...

Oczy Gerbera zamigotały ciekawością. Powstrzymał się jednak i po dłuższym namyśle odparł:

— Burke?... Znam to nazwisko. Znałem nawet jego właściciela.

— Czy pan wie, że ów Burke uciekł z kraju w przekonanniu, że zastrzelił pana?

— Wiem, że uciekł, postrzeliwszy mnie. A na drogę zdążył okraść mnie z pieniędzy, jakie miałem przy sobie. Wywołał ze mną awanturę w kilka minut po tem, jak otrzymałem trzy tysiące dolarów od właściciela salonu, w którym wówczas byliśmy. W czasie strzelania byliśmy sami. Gdy mnie przyprowadzono do przytomności, spostrzegłem brak pieniędzy, ale Burke'go już nie było...

Winters potrząsnął przecząco głową.

— Pan się napewno myli, panie Gerber, — rzekł poważnie. — Znam Burke'go i głowę dam, że ten człowiek nie byłby zdolny do kradzieży...

— Tak? — odrzekł Gerber z odcieniem ironji w głosie. — Cóż się więc stało z mojemi trzema tysiącami? Miałem je w kieszeni w chwili, kiedy Burke strzelał do mnie, i tego jestem najzupełniej pewny.

— Kto pana cucił? — spytał Stefan.

— Harden, właściciel salonu, który mi był winien te trzy tysiące i w obecności Burke'go dług oddał.

— Dlaczego pan nie zawiadomił policję o postrzeleniu i kradzieży? Pominawszy już fakt, że został pan zraniony, suma trzech tysięcy dolarów jest dość znaczna, żeby starać się o jej odzyskanie. Tembardziej, że był pan przekonany, że Burke zabrał te pieniądze...

Gerber przerwał Wintersowi, mówiąc:

— Panie Winters, czy pan jest zupełnie pewny, że Burke nie okradł mnie?

— Najzupełniej — odparł zapytany.

— W takim razie wiem, jak się stało. To ten szubrawiec Harden skorzystał z awantury i w chwili, gdy leżałem nieprzytomny, pieniądze zabrał.

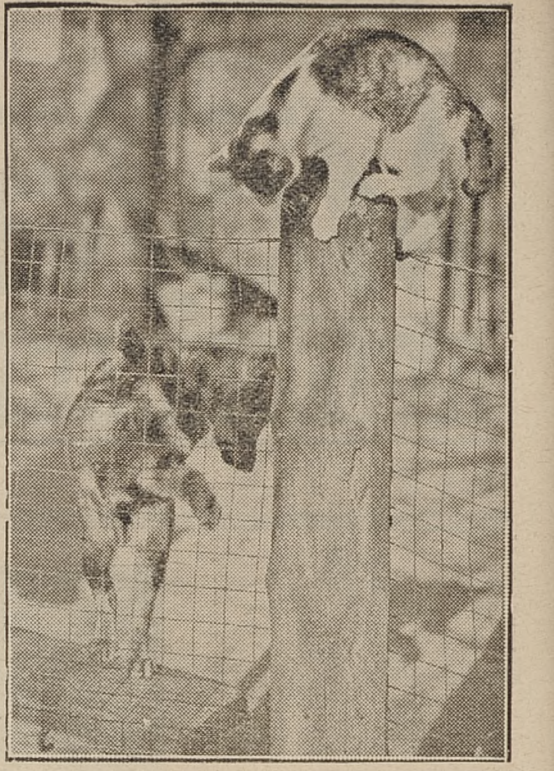
— I ja tak sądzę — rzekł Winters — i teraz zrozumiałem całą sprawę. Z opowiadania Burke'go domyślałem się, że musiał być jakiś ważny powód, dla którego Harden tak usilnie nastawał, żeby Burke uciekał z New Yorku, i teraz powód ten znalazłem. Trzeba przyznać, że sprytnie się urządził...

— Poczekaj-że, złodzieju, — mruczał do siebie Gerber. — Już ja wydrę ci z gardła te pieniądze. Dziś jeszcze pogadamy...

Winters wstał z krzesła, wyjął z kieszeni kilka banknotów i kładąc je na stole przed Gerberem, rzekł:

— Nie będziemy zabierać panu więcej czasu. Bardzo dziękuję za informacje i spodziewam się, że pan rzeczywiście zdoła odebrać swoją własność od pana Hardena. Gdyby brak czasu nie stał na przeszkodzie, chętnie posiedzielibyśmy dłużej i wypilibyśmy po parę kieliszków z panem, ale ponieważ oczekują nas w mieście, pozwalam sobie zostawić panu tę drobnostkę i proszę, żeby pan wypił z przyjaciółmi za nasze zdrowie. Żegnam pana, panie Gerber...

— Do widzenia — dodał Stefek i zanim Gerber ochłonął, obydwaj wyszli z pokoju, przeszli przez szynk i znaleźli



Kot i pies niezawsze są nieprzyjaciółmi. Dowodzi tego nasze zdjęcie, na którem widzimy psa i kota podczas zabawy w wiosennem słońcu.

się na ulicy, gdzie czekał w pobliżu samochód, którym przyjechali.

— No, panie Stefanie, — przemówił Winters, gdy zajęli miejsca w samochodzie, — udało się. Teraz wiemy jak sprawa stoi. Dziś jeszcze piszę do Burke'go, żeby natychmiast przyjeżdżał. Żeby można telegrafować, nie żałowałbym nawet kilkuset dolarów na depeszę, ale o tem niema mowy. Wyślemy list, albo lepiej — dwa równobrzmiące listy, żeby mieć pewność, że jeden dojdzie do miejsca przeznaczenia, i musimy czekać cierpliwie.

— Kiedy więc możemy się spodziewać przyjazdu ojca Haneczki? — spytał Stefek, uradowany z obrotu rzeczy.

— To zależy od tego, kiedy Burski list dostanie i kiedy będzie odchodził najbliższy okręt z portu Limy, bo tamtą drogą będzie jechał. W każdym razie upłynie jeszcze kilka miesięcy, przypuszczam, że najmniej cztery, zanim zobaczymy go w New Yorku.

— Wyobrażam sobie — rzekł na to Stefan — jaka będzie rozmowa Gerbera z Hardenem, gdy się zejdą. O Hardenie wiem, że to łotr z pod ciemnej gwiazdy, a temu także niedobrze patrzy z oczu.

— Trafił swój na swego — odparł Winters śmiejąc się. — Obydwaj godni siebie, potrafią dojść do porozumienia.

Tego jeszcze wieczora Stefan nadawał na poczcie dwa listy zaadresowane do San Sebastiano, Peru, Ameryka Południowa, na nazwisko W. Burke.

Bratnie dusze

Po wyjściu Wintersa i Stefana Gerber długo siedział w swym pokoju i popijając kieliszek za kieliszkiem mocną wódkę, namyślał się nad sposobami odebrania od Hardena swych trzech tysięcy dolarów, które w obecnej chwili ogromnie by się przydały do podreperowania jego fatalnie podupadniętego stanu finansowego. Znając Hardena,

wiedział, że nie łatwa to będzie sprawa, tembardziej, że nie miał żadnego dowodu na to, że nie Burski, a właśnie Harden okradł go kilkanaście lat temu.

Różnie powodziło się Gerberowi przez te kilkanaście lat, które upłynęły od pamiętnego wieczora, kiedy Burski postrzelił go i uciekł z New Yorku. W owym czasie był jeszcze spólnikiem Hardena, a raczej naganiaczem ofiar do gry w karty w dawnym szynku Hardena w portowej dzielnicy New Yorku. W jakiś czas potem Harden sprzedał swą knajpę, a Gerber został zarządzającym u nowego właściciela. Powodziło mu się wtedy wcale dobrze, ale nie pozostawał długo na tem stanowisku. Wmieszany kilkakrotnie w nieczyste jakieś sprawki, miał liczne zatargi z policją i ostatecznie dostał się na kilka miesięcy do więzienia.

Wypuszczony z więzienia tułał się po New Yorku i okolicznych miastach, szukając niby zajęcia. Kilkakrotnie, zmuszony twardą koniecznością, brał się do pracy, ale nigdzie długo nie popasał. Próbował najrozmaitszych zajęć i gdyby chciał, mógłby z łatwością zapracować na utrzymanie, ale wszystko było mu nieodpowiednie i za ciężkie. Pracował po kilka dni w fabrykach desek, w porcie przy wyładowywaniu towarów, jako kelner w podrzędnych jadłodajniach i knajpach, — i w każdem miejscu przebył tylko do pierwszej wypłaty. Wziąwszy zarobione kilka czy kilkanaście dolarów, siedział w szynku dopóty, póki nie przepił ostatniego grosza w towarzystwie podobnych sobie włóczęgów i pijaków nałogowych.

Po kilku latach takiego życia dostał się na okręt jednego z transatlantyckich towarzystw żeglugi w charakterze pomocnika kucharza okrętowego i przez dłuższy czas nie pokazywał się znajomym. Bywał wprawdzie co kilka tygodni w porcie, ale po knajpach się nie włóczył i nie szukał dawnego towarzystwa obszarpańców.

Przyzwoicie, nawet dostatnio ubrany, po zawinięciu okrętu wychodził do portu, gdzie oczekiwał go jakiś poważny jegomość o wybitnie semickich rysach i razem z nim jechał gdzieś do miasta, skąd wracał po kilku godzinach. Jedyną jego rozrywką była gra w karty z towarzyszami z załogi okrętowej. Gra to była jednak umiarkowana, o niskie stawki, i ani Gerberowi większych dochodów, ani żadnemu ze współgrających krzywdy większej spowodować nie mogła.

Jakkolwiek miesięczne wynagrodzenie, jakie pobierał, wynosiło tylko dwadzieścia dolarów, Gerber składał do banku po każdej podróży kilkaset. Otrzymywał te setki od owego jegomościa, który zawsze czekał na niego w porcie, wzamian za kilka niewielkich paczek, które z łatwością mieściły się w kieszeniach jego ubrania.

Paczki te były zawsze starannie owiązane i zaopatrzone licznemi lakowemi pieczęciami. Gerber otrzymywał je w Hamburgu z poleceniem oddania do rąk jegomościa w New Yorku i za tę niewinną usługę otrzymywał po sto dolarów od każdej.



Pewien Berlinczyk zbudował ciekawy instrument muzyczny, składający się z 26 szklanek. Podobno koncerty pomysłowego wynalazcy cieszą się dużem powodzeniem. Artysta, jak widać, wydobywa ze szklanki tony, uderzając o ich brzegi ręką.

Miesiąc upływał za miesiącem i rachunek Gerbera w banku rósł jak na drożdżach, aż pewnego razu, w chwili, gdy wychodził z okrętu, obładowany jak zwykle kilkoma tajemniczemi paczkami, przystąpiło do niego dwóch jakichś panów i ująwszy go bez ceremonji pod ręce, oświadczyli, że jest aresztowany, jako przemytnik kokainy.

Daremnie Gerber zaklinał się na wszystkie świętości, że o żadnej kokainie nie słyszał, że jest uczciwym pomocnikiem kucharza okrętowego. Agenci wysłuchali przysiąg, uśmiechnęli się drwiąco i zawieźli aresztowanego do policji. Znaleziono przy nim pięć paczek, z których każda zawierała po funcie kokainy.

Władze newjorskie dawno już były na tropie szajki handlarzy kokainą, przemycaną z portów europejskich, ale pomimo najenergiczniejszych wysiłków żadnego z członków bandy wykryć nie mogły. Wiedziano dobrze, że służba okrętowa przewozi zakazany narkotyk, i kilku sprawnych agentów policyjnych zostało zaciągniętych na listy, jako kelnerzy i inni członkowie załogi. Jeden z tych agentów był właśnie na statku, na którym Gerber sprawował obowiązki pomocnika kucharza. Podczas podróży agent zrewidował kuferki załogi i z łatwością znalazł opieczętowane paczki w kuferku Gerbera.

Reszta była drobnostką. W chwili wpływania okrętu do przystani, agent-steward stał na pokładzie i umówionemi znakami zawiadomił czekających nań kolegów, że polowanie się udało. Niewiadomo jakim sposobem czekający na Gerbera handlarz rychło spostrzegł, że niema co czekać. Ulotnił się tedy i znikł bez śladu.

Po długich dochodzeniach wytrawni agenci federalni przyszli do przekonania, że Gerber był tylko pionkiem szajki, niewtajemniczonym w całą sprawę i oddali go pod sąd jako zwykłego przemytnika. Tak też było w istocie, gdyż Gerber nie znał ani nazwisk ani miejsca zamieszkania właściwych handlarzy.

Paczki otrzymywał w jakiejś knajpie w Hamburgu, a oddawał je owemu panu albo w restauracji, albo też podczas jazdy samochodem w drodze do miasta.

Rzecz prosta, że Gerber dobrze wiedział, co zawierają przywożone przez niego paczki, ale tak zręcznie udawał niewinne narzędzie nieznanych mu handlarzy narkotykami, że wobec znakomitej obrony dobrze opłaconego adwokata, sąd skazał go tylko na pół roku więzienia.

Niemniej jednak karjera jego jako przemytnika narkotyków została zamknięta. Żaden z handlarzy nie byłby mu powierzył nie funta, ale uncji proszku, gdyż podobizna Gerbera figurowała w albumie przemytników kokainy i każdy agent policji miałby na niego baczne oko.

Minęło sześć miesięcy i Gerber znów znalazł się na swobodzie. Mając jeszcze około dwa tysiące dolarów, postanowił otworzyć szynk, gdyż zawód salonisty najlepiej przypadał do jego upodobania. Po kilku tygodniach poszukiwań znalazł dawnego znajomego, który miał licencję na salon, ale z powodu słabego zdrowia nie mógł osobiście knajpy prowadzić. Gerber zaś, jako kilkakrotnie karany za rozmaite przestępstwa, licencji, czyli pozwolenia na swoje nazwisko dostać nie mógł.

Po krótkim targu objął w posiadanie ową knajpę, w której odnaleźli go Winters i Stefan. Rychło jednak spostrzegł się, że zrobił najmarniejszy w świecie interes. Knajpa była haniebnie brudna i opuszczona, a dzielnica, w której się znajdowała, była zamieszkana przez najuboższe warstwy ludności i do tego przepełniona szynkami.

Jedyną klientelą salonu Gerbera byli marnie płatni robotnicy okolicznych cegielni i bezrobotni włóczędzy, którzy dniami całemi przesiadywali w knajpie, dając utargować gospodarzowi najwyżej kilkanaście centów i domagając się jeszcze bezpłatnych przekąsek. Były często dni, w których cały obrót nie wystarczał na zapłacenie trzydziestej części miesięcznej sumy dzierżawnej, nie mówiąc już o podatkach i wydatkach osobistych właściciela.

Położenie Gerbera było beznadziejne, gdy zaświtała mu nadzieja w postaci przypuszczalnego odebrania od Hardena trzech tysięcy dolarów.

— Gdybym miał te pieniądze — myślał niefortunny szynkarz — rzuciłbym tę dziurę do djabła i przeniósłbym się w inne strony. To jest miejsce martwe i szkoda każdego dnia siedzieć na tym cmentarzu. Ale jak tu odebrać tyle forsy od tego spryciarza?

Ostatecznie postanowił tego jeszcze dnia udać się do Hardena. Ubrał się możliwie najprzyzwoiciej, opiekę nad szynkiem zdał jednemu ze znajomych robotników cegielnianych, który tego dnia nie poszedł do pracy, pojechał w stronę „Rajskiego zakątka".

Ciemno już było, gdy stanął na miejscu. Sala restauracyjna była rzęsiście oświetlona, stoliki czysto ponakrywane, ale gości wcale jeszcze nie było. Gerberowi zaimponował olbrzymi murzyn w jaskrawej liberji, pełniący służbę przy drzwiach zakładu, a że nie obce mu były zwyczaje panujące w takich lokalach snadnie się domyślił, że murzyn, obok obowiązków otwierania drzwi gościom, pełnił jeszcze inną funkcję, ważniejszą niż pierwsza, a polegającą na wyrzucaniu siłą nieproszonych i awanturników.

Wszedł do sali i skierował się prosto do bufetu, w pobliżu którego siedział przy małym stoliku Harden, pogrążony w czytaniu gazety.

Na odgłos kroków, Harden podniósł głowę. Na twarzy jego odbiło się zdziwienie i rodzaj zakłopotania. Rzucił gazetę i podnosząc się zawołał:

— Hallo! Kogo ja tu widzę! Gerber w swej własnej osobie!

— Hallo, Mike, — odparł przybyły. — Jak się masz?

— Tak sobie. Ale co ty porabiasz? Kopę lat cię nie widziałem. Pokaż-że się bliżej!

Gerber podszedł, podał Hardenowi rękę i nie czekając na zaproszenie usiadł przy stoliku.

— Dobrze ci się powodzi — rzekł zataczając wzrokiem dokoła sali. — Wspaniały masz lokal. Wyobrażam sobie, jaki interes musisz tu robić...

— No, nie kokosy... — przerwał gospodarz. — Ładnie to wygląda, ale w rzeczywistości nie wiele daje dochodów. Poczekaj chwilkę, przyniosę co do picia, jak myślisz? A może przegryzłbyś cokolwiek? Gadaj! Na co masz apetyt?

— Daj kieliszek wódki i siadaj. Mam do pomówienia z tobą i rad jestem, że zastałem cię samego. Jeść nie chcę.

Harden wziął z bufetu butelkę z koniakiem i dwa kieliszki. Postawił je na stole, nalał złotawego płynu i rzekł:



„Praca w porcie" — piękny drzewo ryt niemieckiego artysty H. J. Spechta.

— Mam ze dwie godziny czasu, zanim goście zaczną się zjeżdżać. Możemy wygodnie popić sobie i pogadać .Na zdrowie!

Gerber powoli podniósł kieliszek do ust i wysączył znakomity koniak.

— Dobra rzecz. Pewno importowany. Dawno już takiego nie piłem.

— A tak. Francuski z czterema gwiazdkami. Kieliszek sprzedaję po półtora dolara. Pij zaraz drugi — odpowiedział Harden, nalewając powtórnie.

Gerber wyjął z kamizelki zwykłe tanie cygaro i chciał je zapalić, gdy gospodarz wstrzymał go słowami:

— Zaczekaj z tem zielskiem .Mam tu prawdziwe hawajskie i nie pozwolę ci palić innych do takiego koniaku.

Przyniósł z szuflady bufetu pudełko doskonałych cygar i postawił przed Gerberem.

— Pal — rzekł zapraszająco. — Po dolarze sztuka.

Gerber wziął jedno, obwąchał je odgryzł koniec i zapalił. Puściwszy kilka kłębów wonnego dymu, spojrzał w oczy Hardena i spytał krótko?

— Mik, czy znasz jakiego Wintersa?

Harden poruszył się niespokojnie.

— Wintersa? — odrzekł powoli, jakby namyślając się co odpowiedzieć. — Zdaje mi się, że znam.

— Zdaje ci się... Mnie się zaś nie zdaje, że dziś go widziałem i dlatego przyszedłem do ciebie.

— A cóż ja mam wspólnego z owym Wintersem? — spytał Harden.

— Ty? Właściwie nic. Tylko chciałem ci powiedzieć, że Winters zna Burskiego, wie gdzie on przebywa i zna dokładnie całą sprawę z przed piętnastu lat, kiedy to Burske postrzelił mnie...

— I co z tego?

— Powiedziałem, że zna dokładnie całą sprawę... Rozumiesz, Mike? Dokładnie!

— Nie wiem, o co ci chodzi...

— Pomyśl dobrze Mike, i przypomnij sobie wszystko, co zaszło owej nocy.

— Pamiętam doskonale. Burke strzelił do ciebie. Od tej chwili nie słyszałem nawet o nim.

— Tak. Ale nie mówisz, że zginęło Burke, gdy leżałeś nieprzytomny.

— Pamiętam. Zabrał ci te pieniądze Buoske, gdy leżałeś nieprzytomny.

— Nie, Mike. Burke nic mi nie zabrał. Ty wiesz o tem najlepiej.

Harden zaśmiał się ironicznie.

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć — rzekł twardo.

Gerber wstał, położył Hardenowi rękę na ramieniu i patrzył mu w oczy, rzucił:

— Mike, oddaj mi te pieniądze. Wiem o wszystkiem. Mam dowody na to, że Burke ich nie wziął... Winters...

— Jesteś bałwan z twoim Wintersem. Miałem cię za mądrzejszego, Gerber, ale widzę, żem się omylił.

— Burske przyjedzie, a wtenczas...

— Jak przyjedzie, w co zresztą wątpię, możesz go oddać w ręce policji za kradzież. A mnie daj pokój.

— Czy to twoje ostatnie słowo, Mike?

— Nie. Bo jeżeli nie przestaniesz mnie molestować, — zapomnę, że byłeś kiedyś moim przyjacielem i obejdę się z tobą jak z pierwszym natrętem. Rozumiesz?

Gerber zbladł z wściekłości. Gdyby nie wrodzone tchórzostwo, byłby się rzucił na Hardena. Pohamował się jednak i spojrzawszy nienawistnie na dawnego swego spólnika, powiedział z udanym spokojem:

— Dobrze. Pamiętaj jednak, że pożałujesz kiedyś tej chwili. Na razie jesteś bezpieczny, ale przyjdzie czas, że wolałbyś mieć we mnie przyjaciela niż wroga. Dziś jestem prawie w nędzy i nie zdołam zmierzyć się z tobą, ale i mnie kiedyś słońce zaświeci. Do widzenia, panie Harden!

Tyle było bezdennej nienawiści w słowach i spojrzeniu Gerbera, że Harden, pomimo całej swej bezczelności i pewności siebie, poczuł rodzaj strachu. Wolałby był, żeby Gerber wybuchł i obsypał go wyzwiskami, ale ta spokojna groźba przejmowała go obawą. Pomy-

ślał chwilkę i ruchem ręki zatrzymał wychodzącego Gerbera.

— Zaczekaj. Chcę pomówić jeszcze z tobą. Możemy przecie porozmawiać spokojnie.

Gerber zawrócił i stanął przed Hardenem.

— Słucham — rzekł zimno. — O czem chcesz mówić?

— Gorączka jesteś, Gerber. Gdybyś był odrazu powiedział, że jesteś w potrzebie zamiast wmawiać we mnie, że masz dowody, że to ja zabrałem ci wtedy pieniądze, byłbym ci jako dawnemu przyjacielowi chętnie dopomógł. Wiesz, że gróźb nie boję się. Żeby ci jednak pokazać, że byłem prawdziwym twoim przyjacielem, zapomnę o tem, co mówiłeś i pomogę ci.

Gerber zastanowił się. Znał dobrze Hardena i nie wierzył w jego dobre chęci. Z drugiej strony wiedział, że nie będzie w stanie udowodnić mu kradzieży, tembardziej, że Burski swoją ucieczką potwierdzał podejrzenie, że to on właśnie ukradł mu pieniądze. A w obecnych warunkach każda pomoc pieniężna stanowiłaby wiele dla zbankrutowanego Gerbera.

Harden wyjął z kieszeni dobrze wypchany portfel i odliczył kilka grubszych banknotów. Bawiąc się niemi, niby od niechcenia spytał Gerbera:

— Więc Winters złożył ci wizytę. Kiedyż to było?

— Dziś. Przyszedł z jakimś młokosem i spytał, czy pamiętam nazwisko Burske'go.

— I młokosem, powiadasz? Cóż to był za jeden?

— Nazwisko miał jakieś dziwaczne. Libitz czy jakoś. Pamiętam tylko imię. Stefan.

— Aha, — mruknął do siebie Harden. — To ten reporter. Trzeba się mieć na baczności.

W tej chwili przypomniały mu się drogie kamienie będące w posiadaniu Wintersa i przez głowę przeleciała myśl, że Winters był w jego lokalu sam jeden i wracał do miasta bez żadnego towarzystwa.

— Gdyby tak jeszcze raz się pokazał, możnaby gdzieś na drodze urządzić mu niespodziankę, — myślał, patrząc na Gerbera. — Kamienie napewno ma przy sobie, a taki Gerber mógłby poszukać jeszcze jakiego draba do siebie, napaść Wintersa i odebrać mu trzos z kamieniami. Muszę pomówić o tem z Gerberem.

Przeczuwał, że Winters nie odda kamieni Haneczce, póki dziewczyna znajduje się w jego rękach. Przypuszczał nawet, że Winters czuł, gdy rewidował go wtedy w pokoju, i stwierdził obecność kosztownego pasa, a potem wymknął się niepostrzeżenie i od tego czasu nie pokazał się w jego lokalu.

O Gerberze wiedział, że nie cofnie się przed niczem, gdy nadarzy mu się sposobność zdobycia większej sumy. A ostatecznie obrabowanie Wintersa nie przedstawiało nadzwyczajnych trudności. Jeżeli przyjdzie do „Rajskiego kącika", można będzie urządzić zasadzkę gdzieś na drodze. Jeżeli zaś nie pokaże się, trzeba czatować na niego w mieście i w odpowiedniem miejscu napaść i oporządzić. Plan dojrzewał w głowie Hardena.

— Słuchaj, Gerber, — rzekł pochylając się do Gerbera. — Czy wiesz, że ten Winters ma przy sobie majątek wartości stu tysięcy dolarów?

Gerber szeroko otworzył oczy.

— Tak. Sto tysięcy dolarów. Człowiek włóczący się sam jeden po ulicach New Yorku, nie mający żadnych znajomości, nosi taki majątek przy sobie. Był tu u mnie kilka razy, był u ciebie i zawsze miał go przy sobie.

— Niem wiem dlaczego mi to mówisz....

— Ot, tak sobie. Bo widzisz, Gerber, przyszło mi na myśl, że Wintersa mógłby kto napaść i obrabować. Pełno dziś najrozmaitszych bandytów, a cóż łatwiejszego jak przyłapać gdzie takiego Wintersa, obezwładnić i obrać ze wszystkiego co ma przy sobie?...

— Aha... — przerwał mu Gerber. — Domyślam się.... Mike, gadaj otwarcie, ty masz jakiś plan...

— Ja? Skądże znowu! Ale jeżeli chodzi o plan, możnaby obmyśleć. Tylko nie wiem, czy można polegać na tobie.

— Sto tysięcy? — zaśmiały się oczy Gerberowi. — Sto tysięcy gotówką?

— Nie. Winters ma kamienie, których wartość jest ogromna.

Gerber stropił się.

— Kamienie... — rzekł z odcieniem zawodu w głosie. — To gorsza sprawa.

— Głupstwo. Postaraj się tylko o nie, a ja potrafię zamienić je na gotówkę.

Nieufność Gerbera zniknęła bez śladu. Wypił jeszcze kieliszek koniaku i przysunąwszy się do Hardena wyciągnął rękę i rzekł:

— Mike, gadaj jak to zrobić. Interes pół na pół. Ty obmyślisz, ja wykonam. Mów mi o tym Wintersie, gdzie mieszka, skąd się wziął i gdzie można go samego spotkać.

— Mieszka, zdaje się, w hotelu „Commodore", i tam nic nie wskórasz. Ale on napewno przyjdzie tu do mnie, bo kamienie, które ma, nie są jego własnością. Ma je oddać córce Burke'go, którą wychowaliśmy po ucieczce ojca. Tylko, że zaszły okoliczności, że nie chce ich oddać.

Gerber słuchał ogromnie zaciekawiony.

— Musisz postarać się o dwóch dobrych pomocników i być w gotowości na każde moje wezwanie. Wintersa będzie nocna napaść i obrobić na drodze stąd do miasta. Jestem pewny, że w tych dniach zjawi się u mnie. Gdy tu będzie — zatelefonuję do ciebie, a jak ty się z nim załatwisz, to już twoja rzecz. Ja zrobię tyle, że będzie wracał piechotą w nocy.

— Zrobione. Ale muszę mieć cokolwiek pieniędzy przed załatwieniem interesu. Pomocników trzeba wziąć odpowiednich i godnych zaufania, a takim dobrze trzeba zapłacić.

Harden podał mu zwitek banknotów, wyjęty poprzednio z portfelu.

— Wiem o tem — rzekł. — Masz tu zadatek. Reszta po skończonym interesie. Jak sprzedam kamienie, dostaniesz równą połowę, a jak się urządzisz z pomocnikiem, — twoja rzecz. Tylko pamiętaj, że nikt nie ma wiedzieć, że ja jestem w to wmieszany.

— Niema obawy. Mam takich ludzi, którzy za dobre wynagrodzenie podejmą się każdej roboty, nawet „na mokro", i słówkiem nie spytają, kto, co, i dla kogo.

— Miej ich więc pod ręką i czekaj na zawiadomienie ode mnie. A gdyby ten Winters nie pokazał się u mnie, wtedy będziemy musieli poszukać go w mieście, choć to znacznie trudniejsza sprawa. Ale przyjdzie, napewno przyjdzie.

Gerber policzył pieniądze. Było pięćset dolarów.

— Trochę mało — rzekł chowając banknoty, — ale cóż robić!

(Ciąg dalszy w nast. numerze)



100 lat mija w tych dniach od chwili ukazania się na półkach księgarskich głośnej powieści Dickensa pt. „Klub Pickwicka". Z okazji tej rocznicy urządzono w Anglji ku czci pisarza szereg obchodów. Zdjęcie nasze przedstawia członków „Klubu Pickwicka", udających się starodawnąocztą z Londynu do Rentu.

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki"

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

2)

Była piękna; miała dużo kobiecego wdzięku. Czyniła właściwie to wrzystko co i jej otoczenie — tańczyła, gdy inni tańczyli, śmiała się, gdy towarzystwo było rozbawione, umiała się odcinać dowcipnie, gdy ją zaczepiono. Była uprzejma dla towarzyszek podróży, odnosiła się z zimną grzecznością dla panów, umiejąc ich trzymać w odpowiedniem oddaleniu. Jednakże we wszystkiem, co robiła, było coś takiego, co uczyniło ją zupełnie odmienną od jadących na statku panien.

Lekko zaczepne spojrzenie Tomasza odpierała cieniem uśmiechu, w którym kryła się malutka doza ironji. Szelestowski jednak nie zrażał się. Stawał się coraz śmielszy i nie krył się z tem, że jedyną kobietą, którą naprawdę interesuje się na pokładzie, jest właśnie jego rodaczka.

Na statku wiedziano o niej tylko tyle, że nazywa się Fiszer i że wsiadła na okręt w Cherbourgu.

Tomasz z prawdziwym żalem myślał, że zniknie z jego życia ta niepokojąca a piękna zagadka, że już nigdy nie ujrzy tej dziewczyny...

Widok dziewczyny sprawił mu niezwykłą radość. Dowiedział się, że jedzie dalej, aż do Brazylji.

Będzie ją miał obok siebie i tylko dla siebie, gdyż stara metyska z Argentyny i kilku Holendrów, jadących do Brazylji w sprawie eksportu kawy, nie liczyło się zupełnie.

Spędzali teraz razem długie godziny na pokładzie, przyglądając się oceanowi, mieniącemu się wszystkiemi kolorami w słońcu, które grzało coraz mocniej w miarę posuwania się na południe.

Były to cudne, niezapomniane chwile, kiedy mógł znajdować się obok tej ślicznej dziewczyny, obserwować jej delikatnie wyrzeźbiony profil; odczuwał najgłębszą rozkosz na myśl, że ta cudna istota znajduje się tuż koło niego.

Wtedy to Tomasz uświadomił sobie, że jest poprostu — zakochany. Dziewczyna ta stała mu się droższą nad życie, które bez niej wydało mu się bez wartości.

Tymczasem ona pozostawała zawsze jednakową, spokojną, zrównoważoną.

Tylko czasami oczy jej przybierały dziwnie smutny wyraz, a kąciki ust drżały jakby boleśnie.

Zbliżyli się do siebie w ciągu tego tygodnia podróży, który upłynął mu jak jeden dzień, lecz mimo tego dziewczyna nie powiedziała mu nic o swojem życiu. Wiedział tylko, że jest sierotą i że na imię ma Wanda.

* * *

Gdy zbliżali się do celu podróży, ogarniała go rozpacz, że będzie musiał się z nią rozstać. Wtedy zdobył się na odwagę. Ujął jej dłoń w swe ręce i wyznał jej swą miłość.

Wanda zbladła. W pierwszej chwili chciała wyswobodzić swą dłoń z jego uścisku i przerwać wyznanie miłości.

— Niech pan nie mówi dalej... mnie nie wolno pana słuchać, nie wolno...

Słowa jej mieszały się ze łzami. Lecz Tomasz ścisnął mocno jej dłoń i począł błagać głosem drżącym, nabrzmiałym namiętnością, aby nie odrzucała jego miłości.

— Dlaczego nie wolno ci mnie kochać? — pytał, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Zapewniał ją, że ją kocha nad życie, że otoczy ją wszystkiem, czego tylko zapragnie...

Lecz Wanda odwracała od niego swą pobladłą twarz powtarzając ustawicznie:

— Nie wolno mi, nie wolno...

Wreszcie puścił jej ręce. Oparł się o barjerę statku, jakby bojąc się, iż straci równowagę. Wanda odeszła w głąb krokiem znużonym, nie odwracając się.

Tej nocy Tomasz nie zmrużył oka. Chodził po pokładzie, wsłuchując się w szum potężnych fal ciemno-granatowego oceanu, które z coraz większą wściekłością uderzały o burtę okrętu. Nie mógł zasnąć — tysiące najróżnorodniejszych, najokropniejszych przypuszczeń kłębiło mu się w mózgu. Te słowa: „nie wolno mi, nie wolno..." paliły go jak rozpalonem żelazem. — Co miały one znaczyć? Czyżby za niemi kryła się jakaś ponura tajemnica przeszłości dziewczyny? Może na drodze życia Wandy stanął już kiedyś jakiś człowiek, który wykorzystał jej nieświadomość i zniszczył jej życie?... Może Wanda jest tak czysta i szlachetna, iż uważa, że nie wolno jej już marzyć o szczęściu, gdyż padła ofiarą jakiegoś nikczemnika?...

A może — to przypuszczenie było jeszcze okropniejsze — może jej piękne, drobne rączki splamiły się jakimś niecnym czynem, może ścigało ją przekleństwo popełnionej zbrodni?...

Lecz już po chwili złorzeczył samemu sobie, iż mógł przypuszczać coś podobnego. — Fala tkliwości zalewała jego serce i gotów był sam się biczować za to, że przez chwilę nawet ośmielił się rzucać podejrzenia na jasną postać ukochanego dziewczęcia.

Późno już było, gdy wrócił do swej kajuty.

Nagle rozległ się potężny huk, dreszcz wstrząsu przeszedł przez cały okręt.

Rozbicie! — błysnęła odrazu myśl w mózgu Tomasza.

Istotnie — na statku zapanowało już zamieszanie, jakie powstaje w obliczu katastrofy. Rozległy się nawoływania, krzyki, ktoś biegł, ktoś wołał o pomoc. Do kajuty Tomasza wpadł steward.

— Na pokład! Statek tonie!!!

Pierwszą myślą Tomasza było naturalnie ratowanie Wandy. Wybiegł z kajuty, przecisnął się przez tłum napół oszalały, biegnący, to znowu drepczący w miejscu, ludzi przerażonych, nagle zbudzonych ze snu. Dotarł do kajuty Wandy, pchnął drzwi...

Kajuta była pusta...

W największem przerażeniu wybiegł na pokład. Tutaj panika pasażerów dziwnie kontrastowała z karnością marynarzy, niezachwianą przez zbliżające się niebezpieczeństwo.

Nad gwarem oszalałego z przerażenia tłumu dominowały ostre głosy komendy oficerów okrętu, regulującej akcję ratowniczą. Szybkiemi sprawnemi ruchami marynarze spuszczali łodzie na morze i podawali podróżnym pasy ratunkowe... Lecz statek tymczasem pochylał się coraz bardziej. Ludzie stłoczyli się na tylnym pokładzie, podczas gdy dziób okrętu zanurzał się w ocean.

Oczy Tomasza szukały w tłumie Wandy. Nagle ogarnęła go szalona radość: ujrzał swą ukochaną, która w płaszczu zarzuconym na nocną koszulę, stała poważna, skupiona, bez lęku na twarzy, wpatrzona w groźną toń oceanu.

Szybkim krokiem podszedł ku niej, roztrącając zastępujących mu drogę. Chwycił jej rękę.

— Niech się pani nie lęka — wyszeptał.

Odwróciła ku niemu oczy promienne, pełne jakiejś uduchowionej radości.

— Nie boję się, nie boję się zupełnie śmierci...

Nagle niespodziewanym ruchem położyła mu rękę na ramieniu, poczem wyrzekła poważnie, wymawiając wyraźnie każde słowo, jak przy przysiędze:

— W obliczu niebezpieczeństwa i śmierci muszę ci powiedzieć Tomaszu, że ciebie tylko kocham i kocham tak, jak nie kochałam jeszcze nigdy nikogo.

Nagle poczuli silny wstrząs statku. Śmierć zaglądała im w oczy, minuty okrętu były już policzone. Tomasz wiedział o tem dobrze, lecz mimo to ogarnęło go uczucie bezgranicznej radości i szczęścia. Objął Wandę i przycisnął silnie do siebie.

— Umrzemy razem lub żyć będziemy razem — szeptał w najwyższej ekstazie.

Całował jej chłodne dłonie i ciemne, jedwabiste włosy i trwali tak razem w upojeniu, nie pamiętając o tem, co ich otacza.

— — — — — — — —

Tymczasem wokoło nich panowało istne piekło. Toczyła się zażarta walka o miejsca na łodziach. W walce tej zwycięstwo znaczyło życie, przegrana oznaczała śmierć. Wydzierano sobie z dzikiemi okrzykami pasy ratunkowe, w ludziach zrodziła się bestja. Marynarze tylko pozostawali spokojni, milcząco spełniając rozkazy. Opuszczali łodzie na morze — łodzie, w których dla nich nie było miejsca...

Może rozbestwienie ludzi, pragnących się ratować, byłoby jeszcze większe, gdyby nie wyloty luf rewolwerów. Oficerowie z nabitą bronią stali przy łodziach, pilnując, aby najprzód ratowano kobiety i dzieci; dopiero w miarę miejsca można było zabierać mężczyzn.

Już wszystkie kobiety uratowane. Na pokładzie pozostała tylko jedna — Wanda. Podchodzą do niej i chcą ją zaprowadzić do łodzi: jest tam jeszcze dla niej miejsce, ale musi się rozstać z Tomaszem. Lecz Wanda chwyciła się kurczowo ukochanego i zawołała:

— Ja nie chcę żyć — umrzemy razem!

Pozostawiono ich w spokoju. Wtedy Wanda wyrzekła cicho:

— Od czasu, kiedy pozostałam sama na świecie, jedyną jasną chwilą było poznanie ciebie...

Drżała cała. Tomasz, który przyciskał ją do siebie, czuł, jak wzdryga się, słysząc dzikie wrzaski ginących — jednakże oczy jej zachowały spokój.

Uklękła, pociągając za sobą Tomasza.

— Módlmy się — rzekła.

— — — — — — — —

Ostatnia łódź odbiła od statku...

Pozostali pasażerowie i załoga rzucili się do niezabranych jeszcze pasów ratunkowych. A w kabinie bohater radjotelegrafista wysyła nieustannie telegramy, wzywające pomocy.

Woda zalała maszyny, pogasły światła. — Okręt pogrążył się w ciemności.

Z dolnych pokładów, gdzie jechali emigranci, rozlegało się wycie wprost nieludzkie. Słowa modlitwy mieszały się z brutalnemi przekleństwami. Rozpacz tonących dochodziła do szczytu. Potężne fale zalały pokład, tył okrętu zanurzył się w morze...

I nagle na ciemnem tle wzburzonego oceanu zamigotały w dali światełka, zbliżające się w stronę tonącego okrętu...

* * *

Profesor bawił w Brazylji od paru dni. Po długich wyczekiwaniach po różnych urzędach, wyjechał w początkach grudnia przez Holandję.

Grudzień, styczeń i luty stanowią porę letnią w Południowej Ameryce, a upały w krainie podzwrotnikowej są dla cudzoziemca poprostu nie do wytrzymania. — Profesor jednak nie mógł dłużej czekać ani odkładać tej podróży.

Po przyjeździe spotkał go zawód, gdyż Tomasza nie zastał w Rio de Janeiro ani też nie otrzymał od niego żadnej wiadomości.

Przypuszczał z początku, że Szelestowski zatrzymał się po drodze na Maderze czy wyspach Kanaryjskich. Jednakże ta dalsza zwłoka była mu bardzo nie na rękę, gdyż nie mógł wyruszyć wgłąb Brazylji, nie porozumiawszy się przedtem z Tomaszem.

* * *

Karnawał w kraju Krzyża Południa.

Noc sylwestrowa zaczyna się zabawą w dzień przy blasku żarem ziejącego słońca.

Rio de Janeiro, spokojne zazwyczaj w tym letnim okresie, rozbrzmiało muzyką i gwarem radosnym, salwami śmiechu, okrzykami wesela.

Karnawał szedł triumfalnie, znacząc swój pochód radością i weselem.

Całe miasto wyległo na ulice, aby witać Nowy Rok. Zabawa stała się żywiołową, nie było ludzi nieznajomych — wszyscy razem bawili się, nie bacząc na różnice, jakie jeszcze wczoraj ich dzieliły.

Profesor Stawiński, zmęczony po wycieczce do groty granitowej w pobliżu góry Dwóch Braci i upałem, wyciągnął się wygodnie na kanapie, aby odpocząć. Dźwięki orkiestr i okrzyki ludzi zaintrygowały go. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. — Mieszkał przy głównej arterji miasta.

Cała aleja Rio Branco przedstawiała się jak jedno morze głów, poruszających się w takt wrzaskliwej muzyki. Z tysięcy gardeł wybiegła pieśń, zlewająca się z muzyką i syrenami samochodów. Strzelały w powietrze serpentyny, a różnobarwne węże wiły się nad głowami tłumu.

Profesor, który słyszał o słynnych karnawałach Ameryki Południowej — postanowił przyłączyć się do rozbawionego tłumu. Poczuł się odmłodzony. Chciał się bawić i szaleć razem z tym tłumem. Egzotyczność tego karnawału południa miała w sobie coś porywającego. Profesor, jakkolwiek wielki moralista, czuł, że szaleństwo Brazylijczyków jest bardzo zaraźliwe. Ciepłe powietrze południa miało w sobie coś upajającego, oszałamiającego.

Na ulicy tłum go porwał za sobą, wchłonął w siebie, zasypał confetti, chwycił w sidła serpentyn.

Radość tłumu udzieliła się i profesorowi. Co chwila chwytał go ktoś za rękę i pociągał za sobą do tańca. Profesor kołysał się wraz z tłumem w rytm melodji i począł nawet wykrzykiwać wesoło.

W pewnym momencie, wędrując wzrokiem po tej wielobarwnej fali rozbawionych twarzy, ujrzał chabrowe oczy, śledzące z zaciekawieniem widowisko i słodki uśmiech dziewczęcy napoły rozbawiony, nawpół onieśmielony.

W tej powodzi ciemnych, opalonych twarzy i oczu czarnych ta biała delikatna twarzyczka, te oczy koloru bławatków i włosy o odcieniu dojrzewającej na polskim łanie pszenicy — przykuły uwagę profesora.

To był jego typ.

Czekał nań przez długie lata, marząc o nim, może nawet nie zdając sobie sprawy, że czeka na ukazanie się na drodze swojego życia takiej właśnie kobiety.

Stała teraz pod murem domu, ozłocona silnem światłem słońca podzwrotnikowego, jasna i czysta w aureoli złocistych włosów. Szafirowe oczy patrzyły się w tłum jakby przestraszone tą falą ludzką bezwzględnie prącą naprzód. Dziewczyna trzymała się kurczowo ciemnowłosej o dość pospolitym wyglądzie towarzyszki. Uczony zapragnął za wszelką cenę poznać bliżej ową piękną dziewczynę.

A sposobności przecież będzie dosyć przy tym obchodzie sylwestrowym!...

— — — — — — — —

Prześlizgiwał się przez tłum, rozpychał bawiących, drżąc z trwogi, by nie stracić z oczu swego dziewczęcia.

Już znajduje się blisko niej. Podejmuje serpentynę, rozwija ją i rzuca i obydwie dziewczyny spowite są różnokolorową pajęczyną.

Jasnowłosa panienka roześmiała się wdzięcznie i zawołała wesoło:

— Stacho, jakie to zabawne!...

Słowa te wypowiedziane były po polsku. Polki — pomyślał ze zdziwieniem i radością Stawiński.

— Kup „biznag“ — rozległ się tuż za jego plecami gardłowy głos przekupnia metysa.

Profesor obejrzał się.

Dziesiątki rąk wyciągnęły się po maleńkie flaszeczki z perfumami. Był to zwyczaj, przypominający nasz wielkanocny śmigus. Mężczyźni otwierali owe flaszeczki i opryskiwali perfumami kobiety. Widocznie taki był tutaj zwyczaj karnawałowy, to

też i prof. or prysnął zawartością swej buteleczki na blondynkę i zawołał:

Niech żyje rodaczka!

Dziewczynie oczy zabłysły radością i uśmiechając się rzuciła w odpowiedzi:

— Ach, to i pan Polak...

Pociągnęła za ramię towarzyszkę, która wypatrywała kogoś bacznie w tłumie.

— Stasiu, ten pan jest Polakiem!

Towarzyszka blondynki zwróciła swe ciemne oczy na profesora i powtórzyła głosem, w którym trudno było się doszukać entuzjazmu:

— Ach, tak...

Jednakże blondynka wyciągnęła ręce do profesora i rzekła serdecznie:

— Cieszę się niezmiernie z tego spotkania, po raz pierwszy jestem w Rio de Janeiro i nie znam tu nikogo z rodaków.

Profesor uśmiechnął się najmilej, jak tylko umiał.

— Ja również jestem tu po raz pierwszy, przyjechałem dopiero trzy dni temu!

— A ja od sześciu!

Ujęli się za ręce i wmieszali w tłum. Popychano ich zewsząd, to też trzymali się mocno, aby ich nie rozdzielono. W pewnym momencie ktoś ich tak silnie popchnął, że twarze ich zbliżyły się i uczony przez ułamek sekundy czuł muśnięcie policzka dziewczyny. Po paru minutach spostrzegli się, iż ciemnowłosa towarzyszka gdzieś zaginęła. Nie martwiło ich to bynajmniej...

Wreszcie fala ludzka wyrzuciła ich u wejścia cukierni. Byli zmęczeni, zgrzani. Ogromna sala z kolumnami marmurowemi, przybrana zielenią, zalana była blaskami słońca, a jednocześnie ochładzana elektrycznemi wentylatorami i wiadrami z lodem, rozstawionemi w różnych punktach sali. Pełno było tutaj strojnej, rozbawionej publiczności, składającej się przeważnie z młodych par, uśmiechających się czule do siebie. Na ładnych twarzyczkach kobiet malowała się radość połączona z pewną nieśmiałością osób, które skosztowały wolności po dłuższym okresie niewoli. Kobiety bowiem brazylijskie zwykle prowadzą życie niemal klasztorne; kobieta z tak zwanego „lepszego domu" wychodzi na ulicę rzadko i to tylko w towarzystwie opiekunki lub męża.

To też kobiety brazylijskie czekają z utęsknieniem na ten dzień, a właściwie na tę noc sylwestrową, która może im przynieść nieznane przygody, wrażenia nowe. Dlatego też pewne onieśmielenie kobiet łączyło się z czemś,co miało w sobie coś wyzywającego i wabiącego zarazem. Nic dziwnego, noc sylwestrowa nie trwa długo, trzeba korzystać z czasu.

Na nadchodzącą parę naszych bohaterów posypał się deszcz confetti, strzeliły serpentyny, owijając ich kolorowemi wstążeczkami.

Z trudem znaleźli stolik tuż pod wentylatorem. — Przyniesiono im lemoniadę i lody. W czasie rozmowy poznali się bliżej. Dziewczyna opowiadała o sobie. Była od dwóch lat sierotą i mieszkała w Kurytybie z nianką i jej mężem. Dwa ostatnie miesiące spędziła u swego chrzestnego ojca i od niego właśnie przyjechała na karnawał do chrzestnej matki w Rio de Janeiro. Po drodze o mało nie zatonęła. Na imię jej było Wanda.

Rodzice jej umarli wskutek ukąszenia żmiji „jararaco": oglądali oboje krzak róży w ogrodzie swego nowowybudowanego domu w Kurytybie i jednocześnie niemal zostali ukąszeni w dłonie.

Wanda, kiedy mówiła o tym tragicznym wypadku, posmutniała i łzy jej się zakręciły w oczach.

— Tak bardzo pragnęli powrócić do Polski, wojna im przeszkodziła — mówiła z żalem.

— — — — — — — — —

Ale wśród tego karnawałowego nastroju i wesela nocy sylwestrowej nie można się było długo smucić. — Tragiczne wspomnienia usunęły się na plan dalszy, a twarzyczka dziewczyny rozpogodziła się znowu i po chwili usta jej śmiały się, rozbawione widokiem wesołego tłumu. Krzykliwa muzyka jazzbandu brzmiała coraz głośniej, z ulicy wtórowały jej okrzyki tłumu i śpiewu. Do cukierni wtargnęło kilkanaście rozbawionych masek. Zrobiło się ciasno. Profesor zapłacił rachunek i wyszli.

Na ulicach tłumy zrzedły. Noc sylwestrowa, noc podzwrotnikowa zaległa nad stolicą Brazylji. Ognista kula słoneczna ukryła się za oceanem tak nagle, jak wczesnym rankiem wynurzyła się z jego głębin spienionych srebrno-błękitnych — bez smug różowych, bez zorzy, bez stopniowo rozpraszających się lub zapadających mroków, jak to bywa u nas w krajach umiarkowanych. Zajaśniał Krzyż Południa, zabłysnął Orion i równocześnie potoki światła elektrycznego zalały miasto. Donośne fanfary oznajmiły, że zaczęła się pora tańców po lokalach.

Wanda teraz dopiero przypomniała sobie przyjaciółkę i zaniepokoiła się o nią, ale — na krótko. — Noc sylwestrowa to noc wolności i miłości...

— — — — — — — —

Profesor odprowadził Wandę do domu matki Stasi, mieszkającej na spokojnej ulicy w pobliżu Avenide Atlantica. Umówili się, że profesor przyjdzie po nią, aby pójść razem na dancing do Palazzo.

W powrotnej drodze do hotelu złapał go deszcz równikowy, ciepły, ulewny, nie trwający długo. — Deszcz jednak ten nie odświeżył upalnego powietrza, nie ochłodził go. Profesor przebrał się i szybko wyszedł z hotelu.

Przepełnione ulice miasta, gwar głosów ludzkich, drażniące dźwięki muzyki, dzikie i namiętne, płynące ze wszystkich niemal okien i drzwi, oszołomiły go. Był jakby pod działaniem haszyszu. Urok tej cudnej, nieokiełzanej, podzwrotnikowej krainy, żywiołowość tych natur pierwotnych — porwała go, upoiła, urzekła. Uczuł się nagle młodym zdobywcą, zapomniał o botanice, o książkach, o swej karjerze uczonego.

Zapragnął żyć i kochać.

Wanda!

To nie była miłość, która się zapala od jednego spojrzenia i z jednem spojrzeniem gaśnie...

Był to potężny wicher pożądania — burza uczucia, która porwała go całego. Wanda! Poza tem imieniem, poza tą wiotką postacią i śliczną główką, nie istniało dla niego nic więcej w obecnej chwili. Zdawało się, że wszystkie lata młodzieńcze wróciły teraz do niego, by upomnieć się o swe prawa...

Sala dancigu była już przepełniona, gdy stanął na progu i rozejrzał się. Poprzez migające pary w tańcu ujrzał tę, dla której tu przyszedł. Stała na uboczu, jakby cokolwiek zasmucona. Dumne jej spojrzenie trzymało w należytem oddaleniu młodych ludzi. Profesor podszedł do niej.

Na jego widok rozpogodziła się jej zasmucona twarzyczka, a w głębokich oczach pojawiły się wesołe błyski.

* *
*

Pani Żabińska, opiekunka Wandy, z pewną nieufnością przyjęła oświadczyny profesora i dopiero kiedy przedstawił jej zaświadczenie z poselstwa polskiego o stanowisku, jakie zajmuje, pogodziła się z myślą wydania za niego Wandy.

Miłość tych dwojga była tak gorąca, tak żywiołowa, że oboje nie chcieli słyszeć o odkładaniu terminu ślubu. Zresztą profesorowi praca zawodowa nie pozwalała na zwłokę.

W parę dni po zaręczynach, profesor otrzymał zawiadomienie ze szpitala portowego w Victorii, iż Tomasz Szelestowski, ranny w katastrofie okrętowej, jaka wydarzyła się przed paroma tygodniami w pobliżu tego portu, przyszedł na tyle do zdrowia, że niebawem opuści szpital.

* * *

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Resurrexit



Wiosenny grom! Wiosenny grom!
Wiosenna błyskawica!
O przyjdzie koniec waszym łzom,
Jak światu obietnica!

O przyjdzie koniec waszych trwóg
Struchlałe wstaną kości,
I wrócą się ze swoich dróg,
Co poszli stąd w żałości.

Ten wielki, czarny, smętny grób,
On wyda z siebie życie...
Przetrzyma mękę krwawych prób
I pęknie na rozświcie,

I wyjdzie z niego blask i woń
I duch świeżości pełny,
I wniebowstępną wzniesie dłoń
Na srebrnych chmurek wełny.

I wyjdzie z niego żywa moc,
W przejasnej skrawej bieli,
I skończy się nam długa noc
I dzień się zaweseli.

MARJA KONOPNICKA.





Wesołych i Szczęśliwych Świąt swoim Czytelnikom, Sympatykom i Przyjaciołom

życzy

REDAKCJA „MOICH POWIEŚCI".

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

UŚCISKI I POZDROWIENIA

„Dzika Cyganka." Stanowi Pani wielki kontrast z swoją kuzyneczką. Tyle ile w Pani beztroski i szczerej radości, tyle w tamtej smutku i melancholji.

Pyta Pani o moje zdanie o sporcie. Uważam, że jest on niezbędny dla zdrowia, ale używany w miarę. Nie uznaję sportu jako manji.

A teraz spełniam prośbę Pani i zamieszczam dopisek z listu, prosząc przedtem jeszcze o dalszą pamięć:

„Hallo! Tu „Dzika Cyganka"! Przesyłam miłe i szczere pozdrowienia: „Incundi agricolae", „Samotnemu Agronomowi", „Synowi Morza" i „Jaśkowi Pokutnikowi". „Fakira" proszę o zwrot fotografji. Dla „Verte" przesyłam dużo, dużo uścisków."

JAKI JEST POWÓD MILCZENIA?

„Młodziutka Ślązaczka." Nadesłała mi Pani znowu bardzo miły i sympatyczny liścik, w którym znalazłam także kilka serdecznych słów dla siebie. Dziękuję za nie i bardzo chętnie zapytuję się w imieniu Pani „Bruneta" o powód milczenia? Również przesyłam pozdrowienia „Marzycielskiemu Brunetowi" i serdeczny uścisk dłoni „Wesołemu Kozaczkowi."

Na tem kończę moją odpowiedź i spodziewam się, że „Młodziutka Ślązaczka" tym razem nie będzie leniuszkiem i wcześniej napisze, niż ostatnio. Łączę wiele uścisków.

„CZY „MALEŃKA TAJEMNICA" ZECHCIAŁABY ZE MNĄ KORESPONDOWAĆ?"

„Wilk Morski". Do „Krainy" przyjęłam Pana. Liścik w całości zamieszczam:

„Ponieważ Pani i Sympatycy „Moich Powieści" mnie nie znają, wypada mi się przedstawić: Jestem wysokim brunetem, o oczach niebieskich. Mieszkam stale w Poznaniu, który jako moje miasto rodzinne bardzo pokochałem. Jestem zwolennikiem wszelkich sportów. Muszę przyznać, że jestem z usposobienia bardzo wesoły i pogodny. Tyle o sobie.

A teraz zapytuję „Maleńką Tajemnicę, czy zechciałaby ze mną korespondować?

Ślę pozdrowienia dla: „Wesołej Irutki". „Arabki" — „Nimfy II" — „Samotnej Indjanki" i memu towarzyszowi „Śledziowi Pomorskiemu."

NOWY APEL

„Terenia z pod Wrześni" pragnie należeć do naszej „Rodzinki", więc z miłą chęcią ją przyjmuję i oddaję część jej liściku do druku:

„Chciałabym również nawiązać korespondencję z milutką osóbką. Z zasady nie lubię się przedstawiać, ale w tym wypadku, jako nowa mieszkanka „Krainy", muszę obowiązkowo. Jestem młodą wesołą blondynką, średniego wzrostu, mieszkam na wsi, i strasznie się nudzę. Przyjemnością moją to taniec, rower, wycieczki. Kocham przyrodę. Może znajdzie się ktoś w „Krainie" z podobnem zamiłowaniem i napisze do mnie milutki liścik, którym mi sprawi wiele zadowolenia? Odwzajemnię się natychmiast.

Łączę milutkie pozdrowienia dla „Gorzkiego Orzecha" — „Samotnego Agronoma" — „Lwa" — „Incundi agricolae" i „Alohy".

TAJEMNICZOŚĆ MAŁYCH FIGLAREK

„Śnieżyczka" i „Gwiazdeczka". Ciekawa jestem, co takiego knują znowu małe figlarki, że okrywają się taką tajemniczością i szepcą mi na ucho: „nie piszemy dużo, bo myślimy... co nowego wypłatać". Bardzo pięknie, tylko, proszę nas nie wystawiać na zbytnią cierpliwość i nadmiernie nie przeciążać sobie móżdżków.

Pozdrowienia chętnie przekazuję dalej i to: „Sarence Czarnookiej" — „Takiemu małemu Coś z loczkami" — „Nicponiowi" — „Pacolowi" — „Sztubakowi" — „Ryszardowi" i „Samotnemu Agronomowi".



„Czarnulka z Grudziądza", jedna z Sympatyczek „Krainy", przesyła Czytelnikom „Moich Powieści" serdeczne życzenia świąteczne oraz miły uśmiech.

WICHER

Isi Rybackiej — poświęcam.

Hej! Rwie się wicher, mocarz okrutny
w szalony tan
I woła groźny, dumny i butny —
ja władca, pan!
I rwie się naprzód w zawrotnym tanie
ten dziki król,
Ryk mu się groźny rozwiera w łkanie
wśród pustych pól
I coraz wolniej i coraz ciszej wiatr —
mocarz gra,
A tylko pierś mu rozpaczą dyszy i łka,
A w jego szepcie drży głucha skarga,
bezmierny ból,
Lecz nikt go nie zna, nikt go nie słucha
wśród pustych pól.
M. D.

PROŚBA

„Śnieżna Kula." Dzielna z Pani osóbka, że nie zraża się drobnostkami, lecz stara się osiągnąć zamiary w inny sposób. To mi się bardzo podoba.

„Wielką prośbę" Pani oczywiście spełniam i niektóre zdania z listu przedrukowuję:

„Prosiłabym tych, których Bóg obdarzył talentem pisania wierszy, aby napisali dla mnie jakiś mały utworek. Bardzo będę wdzięczna, gdyż to sprawi mi dużo radości i zadowolenia.

Moc najserdeczniejszych pozdrowień ślę: „Białej Uajali" — „Jadźce z Kujaw" — „Dumce" — „Leśnej Rusałce" — „Kwitnącemu Wrzosowi" — „Wesołemu Kozaczkowi" — i proszę „Dumkę" o skreślenie do mnie kilku słów."

SMUTEK

„Smutna Wandeczka". Zawód, który Panią spotkał, nie jest tylko samem złem — jest także dobrem. Cierpiąc szlachetnie, zyska Pani wiele. Narazie ciężko Pani i smutno, ale to wszystko minie. Nowe dni przyniosą Pani znowu szczęście, może inne, ale nie mniej jasne i dobre. Cierpliwości więc i trochę wytrwania, Smutna Dziewczynko!

W sprawie korespondencji apeluję do wszystkich Sympatyków, aby zainteresowali się bliżej Panią i przesłali Jej dużo pogodnych i miłych słów. Ucieszę się, gdy moje słowa nie miną bez echa i znowu jeden smutek pryśnie bez śladu.

DWIE SIOSTRZYCZKI

„Wesoła Sarenka" i „Rusałka II", dwie sympatyczne siostrzyczki nadesłały mi swoje ryzopisy z prośbą o umieszczenie ich w „Krainie." Do prośby tej przychylam się jak najchętniej.

„Wesoła Sarenka" pisze o sobie: „Jestem jasną blondynką o błękitnych oczach, bardzo wesołą, lubiącą muzykę i sport. Mieszkam w lesie, dlatego odczuwam brak towarzystwa. Może który z Czytelników „Moich Powieści" napisze do mnie? Zainteresowałam się „Jaśkiem Pokutnikiem." Może ten Pan zechce do mnie parę słów napisać? Na każdy list odpowiem.

„Rusałka II", idąc śladem siostrzyczki, przedstawia się w następujących słowach: „Jestem blondynką, zawsze wesołą. Mam lat 20-cia. Mieszkam na wsi, wśród pięknych lasów. Chętnie chciałabym nawiązać korespondencję z Czytelnikami „Moich Powieści". Może ktoś do mnie napisze? Zrewanżuję się zaraz."

UŚMIECHNIJ SIĘ!

„Smutna Zocha". Nadesłana fotografja bardzo mi się podobała, szczególnie zaś smutna osóbka na niej uwidoczniona. Chciałabym bardzo wywołać na twarzy Pani radosny, pełen zadowolenia uśmiech, dlatego zaliczam Panią, do naszego grona, a oprócz tego przedrukowuję tę część listu, w której mówi Pani o sobie

„Jestem wysoką brunetką o dużych, niebieskich oczach. Lubię dużo śpiewać, uprawiam sport, przebywam dużo na powietrzu i jeżdżę rowerem. Kocham przyrodę, łąki, lasy, kwiaty. Od dłuższego czasu szukam jakiejś bratniej, dobrej duszyczki, z którą mogłabym dzielić moje troski i zmartwienia.

Czy mogę mieć nadzieję, że znajdzie się ktoś, co mnie zrozumie i rozweseli?"

DO CZYTELNIKÓW „MOICH POWIEŚCI"

„Dziewczę Stepów" nadesłało na moje ręce list następującej treści:

„Szukam przyjaźni na gościńcu życia — serca któreby zrozumiało mnie. Mieszkam na wsi, daleko od miasta. Jestem młoda, rodziców mam kochanych, pracuję z zapałem. Zdawaćby się mogło — że wszystko jest dobrze, i tak może jest, jednakże w duszy kobiecej tkwi wieczna tęsknota za czemś idealnem i nowem. Kocham i podziwiam piękno natury i przekładam ją nad wrzask dancingowego jazz-bandu. Człowiek w zetknięciu się bezpośrednim z naturą, czuje się bliższym Boga, lepszym i niejako cząstką tej natury. Cudnie jest w obliczu gwiazd i nieba wić marzenia czyste, jak nieskazitelna biel całunów śnieżnych.

Coby się stało z nami, gdybyśmy stracili nadzieję i wiarę — te dwa uczucia, które nas podtrzymują przy życiu, które są cząstką składową prawie każdego uczucia? Jeśliby człowiek nie miał żadnego pragnienia, straciłby cel w życiu — a ono samo stałoby się nieznośne. To tęskne wyczekiwanie „czegoś" jest niezbędne w naszem życiu. Nie znając trosk, nie umielibyśmy należycie ocenić szczęścia.

Może ktoś z samotnych przyjaciół (łek) odezwie się do mnie?"

PODAJĘ PANI DŁOŃ

„Wala z nad Drwęcy." Skarży się Pani, że nie otrzymywała odpowiedzi na swoje listy. O ile mi wiadomo wysyłałam Pani odpowiedzi nawet listownie — proszę sobie przypomnieć.

Wyczuwam z listu, że smutno Pani i przykro, zapominam więc o tem, co zakłóciło naszą przyjaźń i znowu podaję Pani rękę. Proszę, niech Pani pisze do mnie, tak, jak dawniej, a chętnie Panią zawsze wysłucham i w czem będę mogła pomogę.

A teraz zwracam się do „Bydgoszczanina", aby zwrócił Pani fotografję, oraz zasyłam Mu w imieniu Pani pozdrowienia. Również „Błękitnemu Rycerzowi".

LIŚCIK Z POMORZA

„Elżunia“. Pseudonim, który Pani podała nie przypadł mi do gustu; brzmi nieco dziwnie natomiast „Elżunia“ będzie bardzo miłym i odpowiednim. Z radością daję Pani upoważnienie do pisywania do mnie długich listów. Ostatni przedrukowuję:

„Jestem wysoką, szczupłą szatynką, mówią, że posiadam śliczne, czarne oczy i dobre serduszko. Mam bardzo wesołe usposobienie, ale spowodu braku towarzystwa jest mi nieraz smutno. Straciłam już największy skarb na świecie — matkę. Tak ogromnie odczuwam jej brak. Jestem jedynaczką. Specjalność moja to muzyka. Gdy siądę do fortepianu mogłabym grać bez końca. Nazywają mnie „Paderewskim“. Czytałam kiedyś śliczny wierszyk, że: „Piękno i spokój duszy tkwi w potężnym akordzie muzyki i niesie troski i smutek do nieba“. Nie zaprzeczam, że muzyka rozwesela, ale żeby smutek zabrała nie mogłabym powiedzieć. Z tęsknotą wyglądam lata. Wówczas jest znacznie weselej. Mam zaledwie 7 stacji do Gdyni, więc często tam bywam. Kocham bardzo nasze Polskie Morze. Najśliczniej wygląda po burzy, jest wówczas takie rozigrane i posiada w sobie taką wielką siłę.

Może znajdzie się w „Krainie“ ktoś o podobnym usposobieniu jak moje i napisze do mnie? Obiecam solennie, że zaraz odpowiem.

Przesyłam pozdrowienia: „Elżuni z Torunia“, — „Dzince“ — „Francisowi“ — i „Smutnemu Julkowi“.

KILKA SŁÓW O NUDACH

„Czarnulka ze Świecia“. „Jestem wesołą, 19-letnią dziewczynką. Lubię bardzo przyrodę, sport, kino, muzykę, taniec no i wszystko to, co piękne.

W moim miasteczku są nudy, ja jednak zawsze jeszcze posiadam humor.

Bardzo wielką rozrywką dla mnie byłoby otrzymywać liściki od nieznanych. Proszę więc kto chce bliżej poznać „Czarnulkę ze Świecia“, niech do mnie napisze, a przyrzekam dać szybką odpowiedź.

Nawiązałabym chętnie korespondencję z „Samotnym Lesiem“, lecz niech On napisze pierwszy. Łączę pozdrowienia dla „Jerzego“ — „Waldego“ — „Wesołej Irutki“ — Kapłanki Wschodu“ i „Samotnej Dzidzi“.

W pierwszym rzędzie podałam do wiadomości wszystkich treść liściku, a następnie przesyłam Pani kilka słów odpowiedzi na nadesłany list:

Bardzo mi miło, że chce Pani napisać do mnie obszerny i ciekawy liścik. Może go Pani nadesłać do redakcji z dopiskiem: „dla p. Zofji“ a napewno dojdzie do moich rąk.

Co do nudów, miałabym pewne zastrzeżenia. Skarżyć się na nudy, to tyle, co oskarżać siebie na brak przedsiębiorczości i pewnej inicjatywy. Człowiek dzielny i posiadający moc zainteresowań, nigdy nie będzie się nudził! Mam nadzieję, „Czarnulko“, że teraz, kiedy już zdecydowałaś się do mnie napisać, nie będzie już tak źle z „nudami“. Postaram się je rozproszyć, w czem dopomogą mi także moi Sympatycy, prawda?

ODPOWIEDŹ W 24 GODZINACH

„Ala“ i „Helenka“. Dzisiaj udzielam nareszcie Paniom krótkiej „audjencji“. Bardzo się cieszę, że „Moje Powieści“ są darzone przez Panie taką wielką sympatją i oczekiwane zawsze z niecierpliwością. Dzisiejszy numer przyniesie Paniom za to serdeczne uściski dłoni i pozdrowienia ode mnie.

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pań: „Dziewczę z Kujaw“ — „Młodą Ślązaczkę“ — „Largo“ — „Rybaka z Helu“ — „Jurusia“ — „Amicusa“ — „Incundi agricolae“ — „Wesołego Stefka z Grudziądza“ i „Lazur“. Jeżeli ktoryś z wymienionych Sympatyków nie koresponduje jeszcze z nikim, niech napisze do „Ali“ i „Hilenki“, a otrzyma odpowiedź w 24 godzinach.

ŻYCZENIE

„Smutny Esperantysta“. List przesłałam dalej. Życzę dużo zadowolenia w korespondencji. Wyrazy uznania za ładne wierszyki, przeznaczone dla: „Kaliny“ — „Jadźki z Kujaw“ — „Białej Ujali“ — „Białego Murzyna“ i „Leśnei Rusałki“ — przekazuję i serdecznie Pana pozdrawiam.

* * *

I przybyło
Niewzywane
W jakąś noc...
Nie! nad ranem
W dzień zwykły.

Niebo nikłym
Wschodziło
Rumieńcem...

Nieszczęście:
Czegoś kres.

Zacisnęły się pięście,
Jak pętle.
Zimno przeszło po ciele,
Jak nóż.

A potem... już niewiele...
Tylko oczy mętne
Od łez
I nic już...
Nic więcej już...

„Manola“.

BARDZO RZEWNY I POETYCZNY LIŚCIK

„Skowronek z nad polskiej niwy“. Bardzo rzewny i poetyczny liścik napisała Sympatyczka o powyższym pseudonimie. Posłuchajmy:

„Jestem jeszcze młodą, bo niedawno skończyłam 18-cie lat i patrzę na życie, jak to mówią, przez różowe okulary. Wiem jednak już, co to znaczy ból i przykre rozczarowania. Czasem jest mi bardzo smutno, ale wtedy nie skarżę się, chyba gdzieś cichutko w kąciku. Pragnęłabym chętnie skimś korespondować, gdyż jestem zupełnie sama, ot jedna z tych, których mogiłki rodziców spoczywają na cmentarzu pod białemi brzozami. Rozpisałam się już strasznie, a jeszcze chyba połowy nie napisałam tego, co pragnę napisać, więc będę się streszczać. Może znajdzie się ktoś w „Krainie“, który mieszka w białym dworku, starym, jak te lipy stuletnie, otoczonym dużym parkiem, co lubi jeździć konno i grać na fortepianie? Lub może ktoś, co mieszka w dużym, cichym lesie, pośród niezmąconej ciszy? Niech do mnie napisze. Bardzo miło będzie mi posłać Mu kilka dobrych, jasnych słów, wiedząc, że będą odczytane z zainteresowaniem w jakiś spokojny, wiosenny wieczór. Proszę mi wybaczyć, że się zbytnio rozpisałam i zasyłam na zakończenie pozdrowienia: „Małej Konwalijce“ — „Kunie Leśnej“ — „Tereni z szlacheckiego Dworku“ i „Jótkowi“.

SZCZEROŚĆ I HUMOR

„Nieznana Zośka“ przesyła pozdrowienia, wraz z prośbą o skomunikowanie się przez redakcję „Moich Powieści“, p. Marylce Papieżównie. Pozatem nadsyła kilka słów do „Krainy“, które niżej podaję:

„Jestem już niemłodą panną, liczę sobie bowiem lat 27, dwa miesiące i czternaście dni. Czuję się pomimo podeszłego wieku jeszcze bardzo młodą! Jestem usposobienia spokojnego, ale humoru mi też nie brak. Lubię bardzo lasy, jeziora, góry, doliny i równiny. Lubię także „płeć brzydką“ i to początkowy od malutkich chłopczyków, a skończywszy na czterdziestoletnich, starych kawalerach“.

Szczerość p. „Zośki“ zasługuje na uznanie. Takie bezceremonjalne przyznanie się kobiety do „niemłodości“ jest bardzo rzadkie, no a to zdradzanie swych sentymentów wprost rozbrajające. Wszystko więc za tem, że p. „Zośka“ to szalenie miła i szczera osóbka.

WIERSZYK ZAMIESZCZAM

„M.-Rysia“. Pragnę dzisiaj zrobić Pani przyjemność i dlatego zamieszczam nadesłany wierszyk.

„Incundus agricola“ dotychczas nie nadesłał nam swego adresu, dlatego nie mogła Pani otrzymać jeszcze odpowiedzi.

„Różaniec — pozdrowień“ zamieszczam, ale proszę na przyszłość ograniczyć się w podawaniu poszczególnych pseudonimów:

„Utartym zwyczajem zasyłam pozdrowienia „Marzycielskiemu Brunetowi“ — „Dzikiej Cygance“ — „Duśce“ — „Nygusowi“ — „Hance“ — „Ben-Alemu“ — „Złotemu Jabłku“ — „Samotnemu Julowi“ — „Gwidonowi“ — „Erosowi“ — „Synowi Morza“ i „Te-Em“.

DZIĘKUJĘ!

„Tycio-Tyciusieńka“. Dziękuję Pani za miłą pocztówkę. Jeżeli coś dla Pani nadejdzie, oczywiście, że zaraz prześlę. Pozdrowienia, przeznaczone dla: „Etjopki“ i „Erosa“ — przesyłam.

PRZYJAŹŃ

„Samarytanka w mundurku“. Jeżeli komuś jest bardzo smutno i pragnie znaleźć w kimś przyjaciela, niech napisze do „Samarytanki w mundurku“. Sympatyczna ta Panienka chętnie odpowie na każdy liścik.

PROŚBA O PAMIĘĆ

„Blondynek z Pałuk“, przyłącza się także do naszego grona, prosząc Sympatyków o pamięć. Zasyła pozdrowienia: „Erosowi“ — „Osamotnionej Elżutce“ — „Rom — Marowi“ i „Szatynce z Pomorza.“

NADZIEJA

„Zosina“. Dziękuję Pani za pozdrowienia i niżej zamieszczam list Pani:

„Mam szaloną ochotę podyskutować skimś naprawdę inteligentnym i jakoś nie mam szczęścia trafić na duszę mi pokrewną, którąby była szczera i sympatyczną. Nie tracę jednak nadziei, że prędzej, czy później ją spotkam.

Przesyłam pozdrowienia p. „Lawrence“ z zachętą do napisania do mnie liściku, a napewno na odpowiedź nie będzie czekał. Tak samo „Tancerz“. Pozatem ślę pozdrowienia dla „Marzycielskiego Bruneta“ — „Konrada“ — „Ben-Alego“ i „Parysa II“.

Teczka Wujka Janusza

BRAK RYTMU

„Złote Jabłko“. Radość Pana udzieliła mi się mimowoli. Pragnąłbym jak najczęściej jej Panu przysporzyć.

Ostatnie wierszyki dość miłe, zwłaszcza: „Niech przyjdą“... tylko rytm jest jeszcze bardzo ciężki. Może uda się Panu wierszyk ten poprawić? Chętnie zamieszczę. Żegnam Pana przyjaznym uściskiem dłoni.

CZY SPRAWIŁEM ZADOWOLENIE?

„Blanka“. Sympatyczna „Blanko“! W liście Twoim tkwi bardzo dużo serca i życzliwości, chciałbym kiedyś za to gorąco uścisnąć Twoje dłonie i osobiście Ci podziękować. Może mi się to uda...

Z wierszyków wybrałem do druku trzy: „Bezsenne noce“ — „Uśmiechnij się“ i „W cichą noc“... Czy p. „Blanka“ zadowolona? Wesołych Świąt!

UŚMIECHNIJ SIĘ...

Drogiemu „Wiśkowi“ — poświęcam.

Uśmiechnij się dziś do mnie,
Patrz, wiosna wraca znów,
O smutkach swych zapomnij
I usłysz szept mych słów.

Przyjdź — pragnę Cię pocieszyć,
O Tobie ciągle śnię.
Promyku mojej duszy,
Przyjdź i uśmiechnij się.

Ja patrzeć będę długo
W Twe smutne, dobre oczy,
Aż szczęścia przejasnego
Zabłyśnie świat uroczy.

„Blanka“.

BRAK TALENTU

„Ali“. W wierszach swoich sili się Pani na oryginalność, jednak to się Pani nie udaje, „Oryginalność“ Pani poezyj to nic więcej, jak zwykły patos. Radziłbym Pani zaniechać rymotwórstwo, gdyż zbyt mało posiada Pani zacięcia do pisania wierszy. Bez talentu — nie pójdzie Pani naprzód. Lepiej wyzbyć się odrazu złudzeń, niż doznawać stale rozczarowań i zaprzątać sobie główkę niepotrzebnemi sprawami. Prawda, że mam rację?

PROSZĘ O NADESŁANIE POGODNIEJSZECH UTWORÓW

P. Z. M. z Warszawy. Wiersz Pani zawiera tyle goryczy i pesymizmu, że postanowiłem go nie zamieszczać. Może Pani posiada utwory więcej pogodne? Jeżeli tak, poproszę o nadesłanie, a chętnie je zamieszczę. Łączę serdeczne pozdrowienia.

Raj kobiet

Nasze maleństwa wiosną



J 72082 a Praktyczny płaszczyk dla chłopca z jasnej gabardyny, której potrzeba około 1,50 m przy szer. 130 cm.

J 72083 Ładny, szeroki raglanowy płaszcz z jasno-zielonej wełny dla małej, najwyżej 10-letniej dziewczynki.

J 72071 Sukienka dla dziewczynki, skombinowana z gładkiego materjału i z szkockiej wełny w kratę.

J 72076 Śliczna sukieneczka z jasnej wełny lub jedwabiu, przybrana na rękawach ręcznym, kolorowym haftem.

Staropolskie święcone

Z miesiącem kwiatów przyszła wiosna; strojna w srebrzyste bazie i świeżą zieloność. Rozległy się uroczyste, radosne dźwięki dzwonów: „Alleluja!..."

Gościnnie zaprasza gospodarz szlachtę do komnaty jadalnej. Wchodzą przybrani świątecznie w stroje z adamaszków, sajet i altemasów, błyszcząc klejnotami i złotem. Pani domu, przyozdobiona drogiemi zausznicami, perłami i wspaniałe blaski siejącemi brylantami, zaprasza do stołu; dumny uśmiech wykwitł na jej twarzy. Nic dziwnego... to pod jej kierunkiem przyrządzano wszelkie jadła i napoje, to ona zarządziła jak ustawić święcone...

Goście rozglądają się po olbrzymiej komnacie. Światło słoneczne wpada do niej przez szyby okienne, szerokie na cztery łokcie, rżnięte w „banie" w szkle weneckiem; jego promienie mieszają się z blaskiem świec tkwiących w kandelabrach i wyrabianym misternie mosiężnym pająku uwieszonym u pułapu. W kącie pokoju rozsiadł się pękaty piec gdański, z kafli malowanych różną farbą w wymyślne wzory. Podziw budzi piękny rysunek tkanin, któremi są wybite ściany, i artystyczna mozaika z macicy perłowej i hebanu, ułożona na dębowej powierzchni drzwi. Pod ścianami, zdobnemi we wzorzyste makaty, opony i kobierce, stoją szafy z ustawionemi na półkach srebrnemi czarami, krużami, puharami i misami. Szafy te są pięknej roboty, okute i zamczyste, grają różnorodnością barw mozaiki drzewnej „intarsjami", czyli „sztukwarkową" robotą. Lecz przedewszystkiem uwagę gości przyciąga długi stół, stojący na środku komnaty. Ich wygłodzone, długim postem twarze rozjaśnia szeroki uśmiech na widok zastawy.

Sześć olbrzymich srebrnych mis pyszni się na białym, z cieńkiej tkaniny obrusie; na nich zady wędzone, wieprzowe. Na innych misach radują... żołądek, różowiutkie prosiaczki, dzierżące w rozchylonych ryjkach fantazyjnie fryzowany chrzan, zwinięte w kręgi długie kiełbasy, mięsiwo, błyszczące warstwą tłuszczu i głowy wieprzowe, oblane lukrem. Barwne plamy wśród jedzenia, tworzą kolorowe pisanki o misternych wzorach. Koło olbrzymiego dzika, nadzianego kopą pardwi i przekładanego głowizną, stoi baranek z masła, wielkości naturalnej, z błyszczącemi oczkami z brylantów, tkwiących w pierścionkach ukrytych w maśle. Kamiennemi oczyma spogląda młoda sarna o złoconych gałązkach rogów. Połyskują złote i srebrne krużę i czary, napełnione starym miodem i winem. Kryształowe gąsiory otaczają wyzłacane, srebrne koszyki, strzegąc przednich win. Pięknie rzeźbione srebrne łódeczki i wyzłacane bańki z oliwą i octem, stoją na drogich tacach.

Gruby, na dwie piędzie, o objętości ośmiu łokci, kołacz, rozsiadł się wśród śmiesznych, zręcznie zrobionych „cudełków", ustawionych ze święconem ku uciesze gości.

Oto sadzawka z białego miodu, w której pływają złote rybki, figlarne nimfy, skrywają się w jej nurtach, aby uniknąć celnych strzałów Kupidyna, który nad brzegiem tafli... godzi złotemi strzałami. Na długiem jeziorku utworzonem z wina, nalanego do srebrnego talerza, pływają łabędzie z... cukru; szemrzą krople bijącej w górę fontanny.

Duże zdolności artystyczne kucharza wykazuje grupa ludzi z piernika i zwierząt z ciasta, zebrana przed domkiem porcelanowym, zrobionym na wzór „Staljanów."

Koń w tureckiem siodle, ulepiony misternie ze słodyczy, przypomina stare tradycje polskie; mówi o odwadze przodków, którzy bronili Polski przed wrogami.

Wśród „cudełków", szlachta podziwia grupę „religijną": oto Pan Jezus z apostołami i żartobliwa scena, przedstawiająca Piłata, który wyciąga z kieszeni... Mahometa, kiełbasę!

Nad stołem unosi się anioł z napisem na białej wstążce: „Resurrexit sient dixit: „Alleluja!"

Urozmaicenie w spożywaniu święconego wprowadza przybycie żaków — komedjantów. Wyuczywszy się starannie roli, napisanej im przez księży Dominikanów, żacy przedstawiają sceny, z życia Chrystusa. Piłat z brodą... z konopi, rudy Judasz i apostołowie ze srogiemi brwiami z mchu brzozowego.

Wkrótce żacy odchodzą, otrzymawszy sowitą nagrodę za swe „banialuki": każdy „komedjant" otrzymał pół łokcia wędzonej, twardej kiełbasy z gorczycą, bochen chleba, kawał wieprzowego, opieprzonego udźca i garnuszek praśnego miodu. Odchodzą radośni, uśmiechnięci... Wiadomo! biedota tylko z tego żyje...

Rozlega się wesoły śpiew...

Alleluja! Chrystus zmartwychwstał! Alleluja! Słychać brzęk puharów. To staropolskie święcone.

Ze świata

Szczerość ogłoszeń matrymonjalnych

Prawie wszystkie większe dzienniki w Japonji poświęcają conajmniej pół kolumny na ogłoszenia matrymonjalne. W Japonji — jak wykazuje statystyka — największa ilość małżeństw (i w dodatku szczęśliwych) — zawarta została na podstawie ogłoszeń w dziennikach. Tylko, że te ogłoszenia odznaczają się niezwykłą szczerością.

Posłuchajmy, jak brzmią tam ogłoszenia matrymonjalne:

1. Mam już lat czterdzieści pięć — ale wyglądam znacznie młodziej. Jestem wdową — i nie chciałabym starych dni spędzać w samotności. Dlatego zwracam się tą drogą — i pytam — czy niema w Tokio człowieka starszego ode mnie, który chciałby mieć wierną towarzyszkę życia.

2. Jestem skończoną aptekarką. Dotychczas zajęta byłam tylko nauką. Teraz oświadczam, że mi się samotność sprzykrzyła — i mając zawód w ręku i nie będąc ciężarem dla mego przyszłego męża — szukam na tej drodze męża. Naturalnie nie może to być leniwy człowiek, który zechce wykorzystać sytuację, że żona ma swój fach i zarabia.

3. Mam lat 19 — i jestem jeszcze zupełnie niewinna. Wyjdę zamąż za człowieka starszego, ale pod tym warunkiem, że zgodzi się na to, iż zabiorę ze sobą matkę, która jest wdową i nie ma środków do utrzymania.

4. Nie miałam dotychczas szczęścia w miłości, zostałam uwiedzioną przed trzema laty. Mam dziecko po tym brutalu. Jeszcze raz jednak chcę spróbować szczęścia. Mówią o mnie, że jestem ładną. Ja wiem, że mam piękną postać. Ale też serce mam dobre. Kto zechce przyjąć mnie z mojem dzieckiem?

Czy nie uważacie, kochani czytelnicy, że ta szczerość jest pochwały godna — i że stanowić może pierwszy krok — do prawdziwego i wielkiego szczęścia?

Pogrzeby u „czarnych"

Wielu murzynów już za życia cieszy się okazałością swego przyszłego pogrzebu. Odbywają się one zwykle bardzo uroczyście; koniecznie w dzień świąteczny, przy asyście znajomych, ubranych w surduty i cylindry i przy dźwiękach orkiestry instrumentów dętych. Niestety, wiele zmartwień, a nawet i gorących, chociaż ostatecznie bezskutecznych protestów wywołało

murzynów, poparte przez czarnych duchownych, postanowienie przedsiębiorców pogrzebowych, że nie będą oni brać udziału w pogrzebach wyprawianych w święta. Jakie to szczęście i pociecha dla wiernych murzyńskich, że nie zniesiono zwyczaju amerykańskiego paradowania w uroczystych strojach przy akompanjamencie trąb....!

Najpopularniejszy Hiszpan

Najsławniejszym torreadorem hiszpańskim i najpopularniejszym człowiekiem w swojej ojczyźnie jest Pedro de Besauri. Basauri pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny, z kraju lasków hiszpańskich. Rodzina Pedro posiada od wielu lat słynną fabrykę broni palnej i białej. Młody Pedro od siedemnastu lat występuje już na arenie w corridach. Zdobył sławę i wawrzyny nieustraszonego matadora, zgarnia oklaski i złoto. W wielkich miastach Hiszpanji i Ameryki Południowej otrzymuje Besauri po 35.000 pesetów za jedno spotkanie z bykiem. Pozatem don Pedro występuje jako śpiewak operowy i zyskał uznanie krytyków. De nomine jest też dyrektorem fabryki rodzinnej, choć de facto brak mu czasu na pełnienie funkcji fabrykanta.

Z wierzeń ludowych na Helu

Przeczucie śmierci zajmuje w ludowych wierzeniach religijnych bardzo poważne miejsce. Według ludowych podań kaszubskich naprzykład nietylko ludzie są zdolni widzieć, a raczej przeczuć zbliżającą się śmierć, ale również i zwierzęta.

O ile w jakimś domu, mówi jedno z podań kaszubskich, zacznie piać kura, wnet ktoś umrze. Niektórzy mieszkańcy półwyspu Helskiego w to mocno wierzą i natychmiast taką kurę zabijają.

Wieśniacy helscy twierdzą, że przepowiednie te bardzo często się sprawdzają. Opowiadają np. w okolicach Pucka, że gdy pewien gospodarz wypędzał kury z grządek w ogrodzie, wówczas jedna z kur obróciła się i głośno zapiała. Gospodarz ten wieczorem umarł.

Na noc zasuwają mieszkańcy Helu rygle i kołki u płotów, aby utrudnić wejście śmierci, gdyż pieśń ludowa mówi: „Śmierć się wije u płota, szukając kłopota."

Wyrazu kłopot nie można brać w znaczeniu dzisiejszem, lecz pierwotnem, kiedy oznaczał on zasuwkę u drzwi.

Zmartwychwstał!

(Nowela)

Jerzy stał przy otwartem oknie salonu i patrzył, jak furman Stasiek wyprzęgał konie.

Godzina była ranna. Jerzy, tylko co, wrócił z rodziną z Rezurekcji, której nikt nigdy nie opuścił z mieszkańców hulanickiego dworu.

Przyglądał się z zaciekawieniem otoczeniu, jakby po raz pierwszy widział stare kąty, gdzie urodził się — i wyrósł!

Rok temu był oddalony o setki kilometrów i nie miał nadziei, że jeszcze kiedy zobaczy polską wiosnę. Ale wrócił. Wrócił ze sterganem zdrowiem, zmęczony śmiertelnie i — mimo swych trzydziestu dwóch lat, z głową, posrebrzoną przedwczesną siwizną. Wrócił także z odmienioną duszą. Wesołe jego oczy powlekła zaduma, a gadulstwo zamieniło się w pełne powagi — zamyślenie.

Patrzył teraz na zalany słońcem krajobraz i chłonął w siebie rozdzwonioną ciszę wiosennego poranku.

Wielkanoc przypadała na koniec kwietnia i z okien było widać sad, ubrany w uroczysty strój kwitnących wisien, grusz i subtelnych róż, zakwitających jabłoni.

Przeczysty błękit nieba lśnił od promieni słonecznych, tak przedziwnie złotych, jak tylko złotemi mogą być na wiosnę.

Z oddali niósł się przyciszony głos skowronka, a wszystko tonęło w rozmodleniu i jakby zasłuchaniu w dźwięki, które są nieuchwytne dla uszu, ale wyraźnie wyczuwalne dla serca...

Jerzy po raz pierwszy w życiu przeżywał i odczuwał nastrój święta. Dawniej „święto" ograniczyło się jedynie do podziwiania smaku, przedziwnych bab i mazurków, arcydzieł pocztiwej panny Klementyny.

Dzisiaj, po raz pierwszy, przeżywał nastrój czegoś, co jest dalekiem od suto zastawionego stołu.

Tonął oczyma w ukochanym obrazie ojczystej zagrody, a wspomnienia znowu jęły się cisnąć pod czaszkę, wspomnienia pełne grozy, zaś wśród tych wspomnień — jedno, które zasadniczo wpłynęło na jego charakter i zapatrywania.

Było to w roku 19... Przedzierał się do Moskwy, z dalekiej Sybirji, aby dotrzeć do konsulatu polskiego.

Szedł bez przepustki, obdarty, głodny, przeważnie nocami. Włościanie zaopatrywali go czasem w chleb i tak dobrnął aż do wsi, oddalonej od Moskwy jakieś 40 kilometrów.

Na skraju wsi ujrzał chatę, a w niej światło. Drżący z głodu i wyczerpania, zdeterminowany zastukał nieśmiało...

Otworzył mu stary, barczysty chłop. Bezładnie, chwiejąc się na nogach, Jerzy począł prosić aby pozwolono mu przenocować, lecz gdy z otwartych drzwi doleciał do niego zapach gotowanej strawy, pociemniało mu w oczach i stracił przytomność.

Gdy przyszedł do siebie, zobaczył, iż leży na jakiejś pryczy, wysłanej kożuchem, w izbie, podobnej do komory, bowiem zupełnie prawie ciemnej, gdyby nie mały otwór, wycięty w drzwiach prowadzących do izby.

Okazało się, że Jerzy trafił do chłopa, t. zw. „Starowiera".

Gdy zemdlał na progu, gospodarz wciągnął go do izby i ulokował w swej spiżarni. Jerzy leżał tam nieprzytomny przeszło dwa tygodnie, pojony ziołami przez zacną gospodynię. Oprzytomniał, ale podnieść się jeszcze nie mógł, a gdy dziękował gospodarzowi za opiekę i pomoc, chłop potrząsał głową...

— Nie dziękuj. Byłeś głodny i chory, a mnie nie godzi się opuścić brata w potrzebie. I nie mów skądś i ktoś ty zacz — ja nie ciekawy, bo jak będą pytać, skłamać mi się nie godzi, a prawda mogłaby ciebie, bracie i na śmierć wyprowadzić — lepiej milcz. My „starowierzy" — dodał jakby dla wyjaśnienia wszystkiego.

Jerzy powoli wracał do zdrowia. Nie wypuszczano go z komory, w obawie, iż wieść o przybyszu może sprowadzić niepożądane komentarze, kończące się zawsze rewizją, a wiadomo, że z nią razem idzie śmierć i zagłada.

Zbliżały się święta Wielkiej Nocy. Gospodarz opowiadał, że cerkiew w tym roku została zamknięta, że podług nowych rozporządzeń, nie wolno obchodzić żadnych świąt i że przekroczenie tego zakazu grozi ciężką karą.

— Rok temu nie zaglądali jeszcze do chaty, to człowiek mógł, po bożemu, paschę dla siebie poświęcić.

— A cóż będzie w tym roku? — zapytał Jerzy.

— A ot będzie jak było, nie godzi się opuszczać Boga dla ludzi. Przez wycięty w drzwiach otwór, Jerzy często przyglądał się wnętrzu izby i krzątającej się gospodyni.

Poza gospodarzem i jego żoną, było jeszcze dwoje ludzi, córka ich Marusia — i młody parobczak, kuzyn gospodarza, pracujący u niego przy roli.

Typowa izba rosyjskiego chłopa miała tylko ten ciekawy szczegół, iż zamiast zawieszonych w niej portretów wielkich komunistów i okropnych w kolorycie krajobrazów, tak często, ostatnio, widzianych przez Jerzego w izbach chłopskich, na pierwszem miejscu wisiała w niej „Ikona", a przed nią płonąca lampka.

Ta ikona i lampka zastanowiły Jerzego, to też, przy okazji, zapytał gospodarza, czy nie lęka się tego trzymać w izbie wobec nowych rozporządzeń.

— Jeszcze nie widzieli, a ikony zdjąć nie godzi się, choćby i ubili — posłyszał odpowiedź.

Jerzego zaczął zastanawiać typ tego człowieka, jak również spokój i pogoda, panujące w jego chacie.

Przy końcu wielkiego tygodnia zaczęły się świąteczne przygotowania i porządki, a Jerzemu wydawało się, że został przeniesiony w jakiś inny świat...

Po tem, co widział i przeżył, nie mógł zrozumieć, aby w tem piekle na ziemi, mógł ktoś żyć tak beztrosko i spokojnie.

Nadeszła Wielka Niedziela.

Raniutko, zbudził Jerzego głos gospodarza, modlącego się głośno z rodziną. Podniósł się tedy i ciekawie spojrzał do izby. Wszyscy klęczeli przed obrazem i modlili się, a na środku izby, stał stół, nakryty białym obrusem i zastawiony potrawami, wśród których, bielała duża, przybrana zielenią, tradycyjna „Pascha". Po skończonej modlitwie, gospodyni podała Jerzemu jedzenie, a potem cała rodzina zasiadła do stołu.

Zaledwie pierwszy kęs został przełknięty, drzwi otwarły się z trzaskiem, a przez nie wpadł wystraszony i blady wyrostek, wołając:

— Chodzili... chodzili po chatach i do wąs idą.

Jerzy, zwabiony hałasem, przysunął się do otworu...

Twarze siedzących pokryte były białością, lecz gospodarz odrzekł:

— Niech idą.

Ale chłopak nie słyszał już odpowiedzi, bo wybiegł pędem. Siedzący przy stole nie poruszyli się.

Wkrótce drzwi otworzyły się po raz drugi, a do izby wkroczyło czterech ludzi. Jeden z nich, z ogromną, czerwoną gwiazdą na czapce, był komisarzem, a jednocześnie przewodniczącym sekcji „bezbożników", mający za obowiązek tępić bezlitośnie wszelką starą tradycję.

Wysunął się naprzód, lecz na widok Ikony, lampki przed nią i biało zesłanego stołu, zatrzymał się zdumiony, a po jego twarzy zaczęły latać złe ogniki. Tymczasem gospodarz wstał od stołu, a jego olbrzymia postać zatrzymała się tuż przed komisarzem.

Pokłonił się jemu w pas i rzekł swoim spokojnym głosem:

— Chrystus zmartwychwstał! — prosimy, bracia, na chleb i sól — to mówiąc, ujął za rękę zdumionego człowieka i poprowadził do ławy, zapraszając jednocześnie ruchem ręki jego towarzyszy. Gospodyni z córką zerwały się i podsuwały gościom stołki, a zdumieni i oszołomieni przybysze posłusznie zajęli miejsca.

Gospodarz wziął do ręki talerz z Paschą i począł obchodzić z nią siedzących; kłaniał się każdemu i ze słowami „Chrystus zmartwychwstał" — podawał Paschę, wolnem ramieniem obejmując i całując każdego, podług zwyczaju.

W izbie zaległa cisza. Żaden z siedzących nie odtrącił ani gospodarza, ani Paschy, ale każdy też trzymał wzięty kawałek, nie wiedząc, co począć. Gospodarz zaś, po skończeniu ceremonji, zajął swe miejsce i począł podsuwać gościom jadło ze słowami:

— Jedzcie na zdrowie — bracia!

Komisarz, trzymając w ręku kawałek Paschy, patrzył uporczywie w twarz gospodarza, w której świeciły jasne, trochę wybladłe oczy starca, patrzące na niego spokojnie, radośnie i serdecznie.

— Jedzcie, bracia, na zdrowie — powtórzył gospodarz.

Z gardła siedzącego bolszewika wybiegł jakiś zduszony chrobot...

Rzucił na stół trzymany w ręku kawałek ciasta i porwawszy się za głowę, wybiegł z izby, jak szalony! Za nim, w pośpiechu, opuścili dom jego towarzysze...

W niemem zdumieniu pozostała rodzina, patrzyła na siebie przez chwilę, wreszcie gospodarz machnął ręką, a gest ten uspokoił wszystkich. Dokończono śniadania, a potem gospodarz przyszedł do Jerzego z propozycją, iż przeprowadzi go do loszku w sadzie, bo tu niedługo może się zjawić nowa rewizja i kto wie co będzie. Ale Jerzy nie zgodził się i pozostał w komorze.

Dzień przeszedł spokojnie. O zmroku doszedł do uszu mieszkańców chaty krzyk od wsi idący, a niedługo potem, wsunął się jakiś człowiek i jął szeptem opowiadać, że komisarz, po objeściu wioski, poszedł do „domu ludowego" i tam pił i pił bez miary, aż w pewnej chwili, przyłożył swój ogromny rewolwer do skroni — i...!

Jerzy pamięta, że potem, znowu jakoś dziwnie osłabł i znowu leżał, a gdy wreszcie wróciły mu siły, żegnając, jakiejś ciemnej nocy, dobrego gospodarza, ujął go w ramiona i wybuchnął długo tłumionym płaczem...

I ot — wrócił. Ale jego wesołe oczy przysłoniły się zadumą, a gdy patrzył w rozdzwonionej, porankowej ciszy, w dniu święta Zmartwychwstania — zrozumiał, że jest to jego pierwsze w życiu, prawdziwe święto! D.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 83)

„Obiecał dokładniej oznaczyć miejsce, skoro zostanie uwolniony. Lecz, gdyby nawet ojciec był chciał wybawić tego łotra od śmierci, to jednak owo zadanie przewyższało jeg siły. Sąd nie dał się wyprowadzić w pole. Następnego dnia wyprowadzono skazańca z celi i powieszono go na szubienicy. — Na piersi trupa znalazł mój ojciec kawałek papieru, który zawierał dokładny plan Sierra Newada; w jednem miejscu tego planu naznaczono siedem czerwonych punktów. — Ojciec wyciągnął z tego wniosek, że tam musi się znajdować owa kopalnia srebra. Od tego czasu porzucił swój dotychczasowy zawód i przemyśliwał dniem i nocą, w jaki sposób zdoła osiągnąć te skarby. — Był już w podeszłym wieku, sam nie mógł się odważyć na karkołomną wyprawę w góry Sierra Newada, a gdyby wziął kogoś ze sobą: służbę lub przyjaciela, — oh, czyż można komu zaufać, jeżeli się rozchodzi o niezmierne bogactwa?

„Wówczas zapoznał się z Filemonem Arbuckle, który był biednym dziennikarskim reporterem i zarabiał ledwie na życie. Arbuckle spodobał mu się; bo był odważny i przedsiębiorczy. Mój ojciec postanowił wydać za niego córkę i w ten sposób zacieśnić przyjacielskie węzły. — Później mieli wspólnie udać się do gór Sierra Newada i odszukać skarby. — Arbuckle zgodził się na tą propozycję i zaczął się starać o moją rękę. Z początku nie miał wprawdzie dużo widoków na zezwolenie ze strony mojego ojca. Lecz teraz, — zmieniło się wszystko jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Zaręczyłam się z Arbuckle. — Ojciec przygotowywał pokryjomu małą wyprawę, w której mieli wziąć udział Arbuckle, ja i ojciec. Wyruszyliśmy wreszcie do gór Sierra Newada.

„Wszędzie otaczały nas niebezpieczeństwa; Indjanie grozili nam na każdym kroku, dzikie zwierzęta śledziły nasze ślady, a górskie przepaście otwierały przed nami blade widmo śmierci. — Stawialiśmy jednak mężnie czoło. Filemon Arbuckle znalazł zawsze jakieś wyjście z najgorszego położenia, tak, że mój ojciec nie mógł go sobie dosyć nachwalić.

„Jednego dnia znaleźliśmy wąwoz, w którym dzisiaj leży kolonja Arbuckla. Wówczas było to samotne miejsce, podobne do piekła. Dokoła wznosiły się olbrzymie, milczące głazy i odwieczne poczerniałe drzewa.

„Zabraliśmy się do pracy, kopiąc ziemię i podnosząc ciężkie kamienie. Arbuckle działał istne cuda. Jego siły były niewyczerpane, jego energja rosła z każdym dniem i z każdą nową przeszkodą, która stawała nam na drodze. Z początku nigdzie nie było widać upragnionego srebra. Minęło siedem dni, a nie spotkaliśmy ani jednej grudki srebra.

„Nagle jednego wieczora uderzyłam moją piką o skałę, która leżała pod ziemią. Odkopałam glinę, — blady promień księżyca padł na kamień, — coś białego odbiło się w magicznem świetle nocy. — Skała była pokryta srebrem.

„To był początek naszej kopalni, początek naszego szczęścia i naszej zagłady. Tej samej nocy znaleźliśmy grudę srebra, która przedstawiała wcale pokaźny majątek. Wdzieraliśmy się coraz głębiej w wnętrzności ziemi.

„Wschodzące słońce zastało nas jeszcze przy pracy; przed nami leżały przyszłe miljony.

Nikt nie był tak szczęśliwy, jak mój ojciec; cieszył się, że jego sen nie pozostał próżnem marzeniem. Naturalnie uważał kopalnię za swoją własność, on bowiem posiadał ową tajemnicę, — i dostarczył pieniędzy na całą wyprawę. Wprawdzie po jego śmierci cała kopalnia miała przejść na moją własność, lecz za życia chciał być wyłącznym właścicielem tych skarbów.

„Nie spaliśmy przez cały dzień; pracowaliśmy bez przestanku. Do wieczora wydobyliśmy wielką ilość srebra. — W końcu jednak wyczerpały się nasze siły zupełnie; ojciec jako najstarszy wiekiem, osunął się pierwszy bezwładnie na ziemię.

„Zakończcie pracę, moje dzieci“, zawołał, „prześpijmy się trochę. Jutro naradzimy się, co mamy zrobić z naszą kopalnią.“

„Zaledwie wymówił te słowa, gdy jego znużone oczy przymknęły się do snu. Zawinął się w koc, a po chwili usnął mocno, widząc we śnie siebie jako przyszłego miljonera.

„Chciałam także położyć się spać; nagle poczułam dłoń Arbuckla, który mię ujął za rękę. Zbliżył się do mnie i szepnął mi głuchym, zdławionym głosem:

„Rozyta, na co czekać, aż ten stary raczy nam rzucić okruszynę ze swoich bogactw? Jesteśmy zupełnie sami, — nikt nas nie widzi, — nikt nie przeczuwa nawet, żeśmy pojechali w góry Sierra Newada. Jeżeli jutro nie zbudzi się twój ojciec, w takim razie cała kopalnia należy do nas, — a wtedy, — wtedy będziemy żyć wspaniale i wesoło.

„Arbuckle, mówiąc te słowa, całował mię ciągle, a jego pocałunki padały na moją duszę jak płomienie. — Spojrzał na mnie bystro i zdało mi się, że się nie zdołam oprzeć jego woli, — opanowało mię dziwne znużenie. A przecież wszystkie moje nerwy pracowały gorączkowo i czułam, jak krew krążyła szybciej w żyłach. Chciałam się bronić przed tą straszną myślą, którą mi podał nędzny szubrawiec, — napróżno, musiałam spełnić rozkaz i wolę zbrodniarza.

„Zanim wyjechaliśmy do Meksyku na tą karkołomną wyprawę, mój ojciec cierpiał od dłuższego czasu na bezsenność. Niema się co dziwić; po całych nocach przemyśliwał nad wykonaniem swojego planu. Lekarz zapisał mu środek na spanie, który zwykle nosiłam przy sobie we flaszeczce. Doktor zabronił mi jednak dawać więcej aniżeli pięć kropli, gdyż dawka z dwudziestu kropli powoduje natychmiastową śmierć.



Nie wszędzie jest już wiosna. Niema jej, jak wskazuje nasze zdjęcie, w berlińskim Pałacu Lodowym, gdzie odbywają się jeszcze zawody w hokeja. Wśród graczy hokejowych widzimy mistrzowską parę olimpijską — Karola Schafera i Hedi Stenuf.

„Daj mi flakonik“, rozkazał Arbuckle; początkowo broniłam się, on jednak wydarł mi gwałtem flaszeczkę i sporządził napój. Nalał do kubka wina i pomięszał je z trzydziestu kroplami zabójczego, odurzającego płynu. — Następnie podał mi kubek i rozkazał, bym zbudziła ojca i przypomniała mu, że zapomniał zażyć usypiających kropli. W ten sposób, — miałam otruć własnego ojca.

„Wzdrygałam się, chciałam rzucić na ziemię śmiertelną czarę, gdy wtem Arbuckle pochwycił mię za rękę, przyłożył mi sztylet do piersi i zawołał:

„Jeżeli nie spełnisz mojego rozkazu, to zamorduję ciebie, twojego ojca i siebie! Zważ, nieszczęśliwe stworzenie, czy zyskasz co na tem.

„Lecz, jeżeli jesteś rozsądną“, mówił dalej przymilającym się głosem, „to jeszcze dzisiaj w nocy zostaniesz moją żoną, — a tutaj na tem miejscu, gdzieśmy znaleźli pierwsze grudki srebra, wzniesie się pałac, w którym będziesz rządzić jak królowa.“

Anielcia zadrżała, słysząc te słowa; Filemon Arbuckle w podobny sposób uczynił jej łotrowską propozycję, byle tylko zaskarbić sobie jej względy.

„Nie żądaj ode mnie szczegółów“, mówiła nieszczęśliwa, podnosząc głowę z jedwabnych poduszek, „spełniłam jego wolę. Zbudziłam ojca i podałam mu zabójczy napój.

„Ojciec przyłożył czarę do ust. Zaledwie połknął kilka kropli, gdy nagle rzucił kubek na ziemię i zawołał strasznym głosem, który obił się dziesięciokrotnym echem o skaliste ściany wąwozu:

„Trucizna, trucizna! Moje rodzone dziecko, moja córka chce mię otruć!“

„Upadłam na kolana. Trupia bladość

mojej twarzy i przestrach zdradziły wszystko, — podeszły wiekiem mężczyzna zerwał się na równe nogi i błyskawicznym ruchem wyciągnął rewolwer z kieszeni.

„Poznaję, kto cię namówił do tego morderstwa, nieszczęśliwa córko", zawołał, „łotrze, tak więc oszukujesz moje zaufanie?

„Rozległ się strzał, — kula przeleciała tuż obok głowy Arbuckla, niestety chybiła celu.

„W następnej sekundzie zaszło coś potwornego. — Arbuckle stał o jakie dziesięć kroków od ojca i trzymał w ręce rodzaj piki. Teraz, po pierwszym strzale, rzucił się na sędziwego mężczyznę. Widziałam, jak się zamierzył piką na ojca, na głowę ojca, — widziałam, jak mózg wytrysnął, — poczem mój ojciec upadł na ziemię.

„Zakryłam oczy rękoma, nie mogłam patrzeć na tą straszną scenę. Słyszałam tylko, że mordował mojego ojca i pastwił się nad nim jak dzikie rozjuszone zwierzę; ojciec ostatnim wysiłkiem woli błagał go, by mu darował życie.

„Prędzej jednak byłby wzruszył skałę wąwozu, aniżeli tego nikczemnego mordercę, który tak długo bił ojca po głowie, dopóki nie wyzionął ducha. Następnie zmusił mię potwór, bym mu pomogła pogrzebać zwłoki ojca.

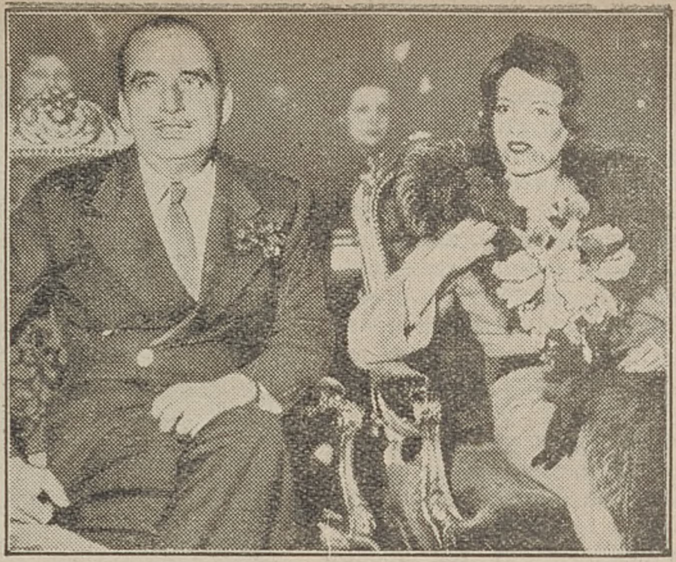
„Między dwoma skałami odkryliśmy małą pieczarę. Wygrzebaliśmy dół, zawinęliśmy ciało w koce i złożyli je na wieczny spoczynek do zimnej ziemi. Arbuckle przywalił następnie pieczarę olbrzymim głazem.

„Jeszcze dzisiaj leżą tam zwłoki mojego ojca. Nikt nie wpadł na ten zbrodniczy ślad, ponieważ Arbuckle zabronił robotnikom jak najsurowiej wchodzić do pieczary. Powiedział, że w tej grocie ukrył duży zapas dynamitu.

„Tej samej nocy zostałam jego żoną! — Haha, — jego żoną? — Nie, — jego kochanką! Pozostałam nią dotychczas; nędznik nie chciał mię poślubić. — Byłam bezsilną wobec jego woli. Zostałam jego niewolnicą, służącą. Nosiłam drogie jedwabie, aksamity i brylanty, lecz mimo tego jestem tylko nierządnicą, którą pieści, gdy jest w dobrym humorze, albo też bije rózgami, jeżeli go spotka coś nieprzyjemnego. — Powoli zasępiał się mój umysł. Nie mogłam zapomnieć o zmarłym, który spoczywa pod skałą. Każdej nocy stoi przy mojem łóżku i wyciąga ku mnie swoje lodowate kościste ręce. Muszę zrobić koniec z tem strasznem położeniem. Anielciu, dopomóż mi do ucieczki. Przysięgam ci na Boga: w tym domu nie możemy dłużej pozostać; inaczej obie padniemy ofiarą!"

„Uciekać!" zawołała Anielcia, „dobrze, zgadzam się! Ale dokąd?"

„Dokąd? — Do Santa-Fee", odparła stanowczo Meksykanka. Widocznie przygotowywała już od dłuższego czasu plany ucieczki. „Musimy się dostać do tego miasta, albowiem tam mieszka miejscowy szeryf. Złożę przed nim to samo wyznanie, które opowiedziałam ci przed chwilą. Niech mię zaaresztuje jako współwinną, — byle okazał mi jedną tylko łaskę: musi mię zaprowadzić do tego wąwozu i powiesić na tej samej gałęzi, którą przeznaczy dla Filemona Arbuckle. — W wąwozie, gdzie spoczywa mój ojciec, stoi samotna sosna na skalistej wyżynie. Drzewo jest prawie zupełnie obumarłe, tylko dwie potężne gałęzie wyciąga jak dwa chude ramiona. Jedna z nich będzie dla mnie, druga dla Arbuckla, a pień dla nas obu. — Tak się musi stać, a wtedy duch mojego nieszczęśliwego ojca, nie będzie się więcej błąkał po ziemi i znajdzie wieczny spokój w skalistym grobie."



Głośny aktor filmowy Douglas Fairbanks senior ożenił się po raz trzeci. Na zdjęciu nowożeniec z żoną Angielką lady Ashley.

Spowiedź nieszczęśliwej wywarła na Anielci głębokie wrażenie. Była przekonaną, że każde słowo Rozyty polegało na wiarogodnej prawdzie. — Biedna kobieta nie była w stanie wytworzyć podobnej fantazji. — Jedno zdarzenie stało w tak ścisłym związku z drugiem, jak tylko możliwe jest w nagiej rzeczywistości ludzkiego bytu.

Filemon Arbuckle zawdzięczał więc swoje olbrzymie bogactwa strasznej zbrodni. Tak, Rozyta ma słuszność, — to morderstwo musi zostać pomszczone.

„Do Santa-Fee, — jeszcze dzisiaj w nocy do Santa-Fee!" myślała Anielcia.

„Porobiłam wszystkie przygotowania", przemówiła Rozyta; wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać z taką szybkością, jakiej Anielcia nigdy przedtem u niej nie zauważyła.

„Przewidziałam, że się to tak skończy. Dlatego kupiłam drabinę z liny, którą ukryłam w mojem łóżku. — Zejdziemy na dół po drabinie, zakradniemy się do stajni i wyprowadzimy dwa muły. W jednym rogu stajni schowałam skórzany worek ze zapasami żywności; przyda nam się teraz w drodze.

„A ty, Anielciu, idź na palcach do zbrojowni mojego męża. Poszukaj na drugiem piętrze i zabierz ze sobą dwie strzelby i potrzebną amunicję. Nie możemy się odważyć na podróż do Santa-Fee, nie mając broni i prochu. Po drodze będziemy jechać przez dziewiczy las. Wprawdzie nie boję się tak bardzo tych niebezpieczeństw, które nas mogą ewentualnie zaskoczyć, ile raczej Arbuckla, który zapewne poruszy niebo i ziemię, byle tylko nas dostał w swoje ręce.

„Bóg nam dopomoże. Poprowadzi nas Bóg zemsty, jak długo nie dojedziemy szczęśliwie do Santa-Fee.

„Anielciu, powiedz otwarcie: masz ochotę jechać razem ze mną, — albo" — czarne brwi Amerykanki ściągnęły się nagle groźnie, a z pod długich rzęsów padło badawcze spojrzenie na młodą, piękną Polkę, — „czy też wolisz zostać z tym podłym człowiekiem? Tak, masz sposobność do zbogacenia się, — będziesz nosić drogie brylanty i chodzić w jedwabnych sukniach, ile tylko zapragnie twoje serce.

„Ale biada ci, biada, jeżeli mu oddasz skarb niewinności; nasyci się wkrótce twojmi wdziękami, a wtedy będziesz prowadzić pożałowania godne życie. Z początku i ja go nęciłam swoimi wdziękami i urodą, — później zostałam jego niewolnicą i sługą.

„Wiedz, ten człowiek jest nienasycony. To upiór, który wysysa kobietom krew z żył, by je później odrzucić z pogardą, gdy stracą dla niego urok".

„Uciekam razem z tobą!" zawołała Anielcia i uścisnęła rękę nieszczęśliwej Rozyty, „nie zostanę dłużej w tym domu! Już samo twoje podejrzenie obraża mię mocno; patrz, jak moje policzki zaczerwieniły się ze wstydu! Nie zapomnę nigdy słów tego człowieka. Nie odważyłabym się spojrzeć mu w oczy".

„Wiedziałam, że mogę liczyć na ciebie!" zawołała Rozyta. „Więc bierzmy się do dzieła! Idź i przynieś strzelby. Nie zapomnij się przebrać. Wdziej obcisłą suknię, by ci nie przeszkadzała w jeździe, ani w marszu i wracaj prędko z powrotem do mojego pokoju. Uważaj jednak, byś go nie spotkała; inaczej jesteśmy stracone!"

Anielcia uścisnęła rękę nowej przyjaciółce i wybiegła z pokoju, zdążając na drugie piętro, gdzie miała swoją sypialnię.

Po chwili wdziała nową suknię. Szaro-wełniana suknia zdobiła teraz pełne formy jej ciała, na nogi włożyła wysokie buciki, które zdradzały całą piękność jej uroczej nóżki. Na głowę włożyła mały kapelusik, zaopatrzony w zielony welon, jako ochrona przeciwko moskitom.

Anielcia rzuciła przelotne spojrzenie w zwierciadło, zgasiła lampę i wyszła na palcach z pokoju.

Zbrojownia przytykała do jej pokoju.

Był to mały gabinet, w którym Filemon Arbuckle posiadał istną wystawę wszelkiego rodzaju broni. — Wisiały tam ostatnie modele broni palnej, pałasze, szable, indjańskie strzały, łuki, dzidy, piki i przeróżne sztylety.

Cały ten zbiór mieścił się w dębowych szafach, które zwykle były zamknięte. Anielci sprzyjało jednak szczęście; jedna szafa była otwarta! Wyjęła prędko dwie lekkie dubeltówki, zarzuciła na ramiona torbę do polowania, która wisiała na ścianie i napełniła ją patronami, ile zdołała tylko ująć w prędkości.

Przed kilkoma tygodniami nie umiała jeszcze obchodzić się z bronią palną. Arbuckle, celem skrócenia nudów, postawił za domem tarczę i strzelał z Anielcią na wyścigi. — W ten sposób nauczyła się nabijać broń i pociągać za kurek, ba, nawet przyswoiła sobie pewną biegłość w trafianiu.

Po chwili Anielcia znalazła się znowu w pokoju Rozyty, która była już zupełnie gotową do ucieczki.

Meksykanka trzymała w ręce małą skórzaną torebkę, nie zdradziła jednak Anielci jej zawartości. Po drugie nie było czasu na stawianie pytań, lub na wymianę uczuć i wrażeń. Teraz trzeba było mężnie działać, ponieważ Arbuckle mógł się zjawić lada chwila.

„Niestety zauważy i tak za wcześnie naszą ucieczkę!“ zawołała Meksykanka, „musimy się więc przygotować na gwałtowny pościg! Dlatego spieszmy się; do okna! Drabina z liny jest już przymocowana. Jeżeli nam się uda zyskać przynajmniej godzinę, to nas ukryje leśna puszcza, a wtedy wszelkie starania i wysiłki tego łotra, by nas dogonić, spełzną na niczem!“

Meksykanka zeszła pierwsza po drabinie ze zadziwiającą zręcznością; Anielcia nie dała na siebie długo czekać. Na podwórzu rzuciły się prędko ku stajniom.

Stajnie były zamknięte, ponieważ konie w pustyni są nieocenionym skarbem, na który polują całe bandy koniokradów.

Rozyta miała jednak drugi klucz; otwarła nim prędko drzwi. Po chwili wyprowadziła na podwórze dwa muły. Zwierzęta poznały widocznie Rozytę, szły bowiem chętnie za nią.

„Nie mamy wprawdzie damskich siodeł!“ zawołała Rozyta, „ale w Meksyku kobiety jeżdżą tak jak mężczyźni! Anielciu, naprzód, odwagi! Siadaj na tego muła! Jedź za mną, — niech nam Bóg dopomoże!“

Anielcia wsiadła na muła i trzymała się silnie kolanami.

Rozyta mlasnęła językiem, a zwierzęta pobiegły natychmiast lekkiego kłusa. —

Noc była ciemna. Inaczej, przy blasku księżyca, — mógłby je bardzo łatwo ktoś zauważyć z okien domu.

Jechały wolno koło wąwozu, coraz wyżej i wyżej, tak, że Anielcia zasłoniła sobie oczy ręką, by nie dostać zawrotu głowy. Siedziała jednak zupełnie bezpiecznie na grzbiecie muła, który był przyzwyczajony do stromych i spadzistych dróg skalnych. Muły są przyzwyczajone do wspinania się po górach i chodzenia nad przepaściami. Anielcia odzyskiwała powoli równowagę; widząc, że muł biegnie pewnie naprzód.



W czasie, kiedy wiosna roztula w ogrodach pierwsze śnieżki i fiołki, w cieplarniach i oknach wystawowych, pysznią się już gorącemi barwami — żółto-złote narcyzy.

Obecnie wyjechały na szczyt skalistej ściany, Rozyta zatrzymała nagle muła. Obróciła się i spojrzała w wąwóz; drewniane domy były teraz podobne do małych dziecinnych zabawek.

„Tam w dole“, zawołała Meksykanka wzruszonym głosem i drżącą ręką wskazała na jedno miejsce, leżące po przeciwległej skale, „tam w dole leży mój podstępnie zamordowany ojciec. Śpij spokojnie, biedny duchu! — Zemszczę się krwawo! Moja ręka będzie siać śmierć i zniszczenie. Śpij spokojnie we wąwozie, który przesiąknął twoją krwią! — Haha, Filemonie Arbuckle, zatrułeś mi życie! Dlatego zniszczę twój żywot! Anielciu, patrz,“ — zwróciła się następnie ku drżącej dziewczynie, która trzymała z trudnością niespokojnego muła, „patrz na tę samotną jodłę, stojącą przed nami! Samotna jak ja, — opuszczona i zapomniana! — Haha! zapewne wie już o swojem wielkiem przeznaczeniu! Przy jodle powstanie świeża mogiła, kruki będą krążyć dokoła i spożywać swoją straszną ucztę!“ — —

„Jedźmy dalej!“ zawołała Anielcia, „nieprzyjemnie tutaj; słyszysz ten szelest? — To nocne upiory!“

„Zauważyłaś je?“ odparła Meksykanka, — „oh, jakież głosy, pewnie mówią o zemście!“

Anielcia przestraszyła się, czy Meksykanka nie dostaje znowu napadu szaleństwa.

Haha, głosy duchów zemsty obijają się już dawno o moje uszy!“ mówiła Rozyta. „Pędzą mię do Santa-Fee, do domu szeryfa.“

Meksykanka zawróciła nagle muła i ruszyła galopem naprzód; Anielcia zaledwie zdołała jej nadążyć. Całe szczęście, że zwierzę było nauczone biec razem ze swoim towarzyszem. Po chwili zrównała się z dziką amazonką.

Uciekające kobiety nie mówiły do siebie ani słowa; wreszcie zobaczyły przed sobą leśną puszczę!

„Teraz jesteśmy ocalone!“ zawołała Rozyta, wskazując na las. „Nie dosięgnie nas ręka Filemona Arbuckla; puszcza ukryje nas w swojem łonie!“

„Jadąc przez las, nie zbłądzimy z drogi, prowadzącej do Santa-Fee?“ zapytała Anielcia z widoczną trwogą.

„Bądź spokojna, zostaw to na mojej głowie! Znam dobrze drogę. Jechałam często tamtędy razem z Arbucklem! Ścieżka wije się przez dziewiczy las i trzeba mieć tylko nieco zdolności do wyszukiwania prawdziwych śladów!“

„Jak długo będziemy jechały do Santa-Fee?“

„Zwykle droga trwa trzy dni. Mamy jednak dobre muły i nie potrzebujemy się zatrzymywać po drodze, wobec czego bardzo możebne, że za dwa dni i dwie noce staniemy u celu. Anielciu, przykro mi, — jednak nie zezwolę ci na długie wypoczynki, ponieważ myśl zemsty nie daje mi spokoju.“

CXXV.

Podejście

Nie trwało długo, a obie amazonki znalazły się głęboko w lesie, który swoim charakterem był łudząco zbliżony do zachodnio-amerykańskiej puszczy.

Anielcia zobaczyła drzewa o takiej wielkości, że trudno było dojrzeć wierzchołka. Pnie miały niezwykły obwód, sześciu chłopów z wyciągniętemi ramionami nie objęłoby takiego drzewa. Między drzewami rosły krzaki, które miejscami były tak gęste, że obie kobiety były zmuszone torować sobie drogę nożem w ręce.

Lecz ogólnie biorąc ze ścieżki, którą jechały, usunięto już dawniej najwięk-

sze przeszkody, odkąd Filemon Arbuckle założył kolonję. Różne znaki przemawiały za tem, że ta droga była dosyć często uczęszczana.

Rozyta kazała swojej towarzyszce naładować strzelbę i zwróciła jej uwagę, by każdej chwili była gotową do strzału. Nie bała się tak bardzo spotkania z ludźmi, możliwość jednak była nie wykluczona, że nagle wyskoczy z gęstwiny dzikie, drapieżne zwierzę.

„Wolę spotkać niedźwiedzia, aniżeli mieć za sobą Arbuckla“, rzekła Rozyta, naciągając kurek. „Teraz odkrył zapewne naszą ucieczkę. Ha, będzie wściekły; poruszy niebo i ziemię, byle tylko nas dogonił! Naturalnie będzie przekonany, żeśmy uciekły w kierunku Santa-Fee, celem złożenia zeznania przed szeryfem. Zapewne goni nas już ze swoimi ludźmi.“

„Cicho!“ zawołała Anielcia w tej chwili, „zdaje mi się, że słyszę jakiś szelest. Czy to możliwe, by obcy jeźdźcy jechali naprzeciwko nas?“

„Najwyżej może być ktoś ze służby, który z polecenia Arbuckla był w Santa-Fee, albo na polowaniu. Lecz robotnicy nie hołdują tej przyjemności, zanadto boją się lasu. — Arbuckle jest w domu. Kto by to mógł być?“

„Dowiemy się wkrótce“, odparła cicho Anielcia. „Rozyto, patrz, jak tam pada cień jeźdźca na drogę, odbija się w świetle księżyca na leśnem tle.“

Przez gęstwinę przeciskał się koń; po chwili pokazała się postać mężczyzny. W ręce trzymał strzelbę i nosił ubranie górnika. Prawdopodobnie należał do personelu z kopalni srebra.

Ten młody mężczyzna był ubrany z pewną starannością. Włożył zawadjacko kapelusz na głowę, a z pod kołnierzyka czerwonej koszuli wystawała krawatka, związana w jeden wolny węzeł.

„Nieba, co za nieszczęście!“ szepnęła Rozyta swojej przyjaciółce i zrównała się zupełnie z mułem Anielci, „to Grzegorz. Rosjanin, którego Filemon Arbuckle niedawno temu zrobił zarządcą kopalni.“

„Stój! Kto tam?“ zawołał Rosjanin i złożył strzelbę do strzału, „powiedźcie, czy macie przyjacielskie zamiary. W puszczy leśnej trzeba się zawsze pytać każdego o zamiary. Ostrożność nie zawadzi.“

„Nie poznaje mię pan Grzegorz?“ zawołała Rozyta, „jestem żoną Filemona Arbuckla.“

Rosjanin zdziwił się niepomiernie. Spuścił strzelbę, dał koniowi ostrogę i przeleciał obok Rozyty jak wicher.

Byli obecnie na małej polanie, porośniętej drzewami, tak, że światło księżyca oświecało dokoła każdy przedmiot.

Przy tem świetle zobaczyła Anielcia po raz pierwszy twarz zarządcy. Zacisnęła nagle wargi, by nie wydać ze siebie okrzyku przerażenia i zdziwienia, poznała bowiem tą bladą, zaschłą twarz, którą widziała już raz w swojem życiu. — Ten mężczyzna, z którym się spotkała w leśnej puszczy, ten sługa Arbuckla, był — Grzegorzem Slatkowem, synem rosyjskiego księcia.

Tak, to był ten łotr, zbrodniarz; pod osłoną nocy napadł ją w Syberji i chciał gwałtem zdobyć jej miłość.



Najbogatszem dzieckiem na świecie jest córeczka hrabiostwa Haugewita Reventlow. Pani Reventlow z domu Barbara Hutton, jest jak wiadomo — spadkobierczynią amerykańskiego Krezusa Woolwortha, właściciela znanych składów towarowych o cenach jednolitych.

Anielcia była do tego stopnia przerażona tem odkryciem, że trzymała się tylko z wysiłkiem na siodle. — Może stała zanadto w cieniu drzew, skutkiem czego nie rozpoznał jej twarzy, mimo, że ją obrzucił badawczem spojrzeniem. Prawdopodobnie różnica stosunków, wśród których się spotkali, była przyczyną, że Grzegorz nie pomyślał nawet o tem, by towarzyszka miss Arbuckle była ową dziewczyną, której wdzięki rozogniły jego fantazję w dalekiej Syberji.

„Jak pan widzi“, rzekła Rozyta, nadając swojemu głosowi pewną wolność i wesołość, „naśladujemy męskie rozrywki. Wyjechałyśmy nocą na polowanie. Pustynia nie daje niestety innych przyjemności. Powiedziano mi, że w okolicy naszej kolonji pokazał się duży jeleń, więc wyruszyłam, by go upolować.“

„Proszę przebaczyć moją śmiałość“, odparł młody Rosjanin, „muszę jednak uprzedzić panią, że nocne wycieczki po lesie są połączone z dużem niebezpieczeństwem. Bardzo łatwo może się przytrafić, że zamiast jelenia spotka pani jaguara, pumę, albo innego drapieżnika. Zawiadomiły panie Filemona Arbuckle o tem polowaniu?“

„Mój panie, to zakrawa wprost na rolę śledczego sędziego! Nie jesteśmy zobowiązane odpowiadać na pańskie pytania.“

„Pytałem tylko“, odparł Grzegorz z pewną galanterją, „ponieważ drżę o bezpieczeństwo pani. Jestem zgóry przekonany, że mister Arbuckle nie dał zezwolenia na tą nocną wycieczkę. Sądzę, że spełnię tylko jego zamiary, jeżeli ofiaruję paniom moje towarzystwo.“

Rozyta i Anielcia zamieniły przelotne spojrzenie.

Rozyta odzyskała znowu równowagę. Zamiast odrzucić propozycję Rosjanina, zawołała pospiesznie:

„Cieszy nas mocno, że będziemy miały przy sobie tak zręcznego strzelca. Jeżeli panu czas pozwala, to prosimy na wspólne polowanie“.

Grzegorz skłonił się, zawrócił konia i jechał obok Rozyty. Anielcia zawróciła muła na drugą stronę przyjaciółki. Ścieżka była w tem miejscu dostatecznie szeroka, skutkiem czego mała karawana jechała w jednej linji. Grzegorz starał się, widocznie, zabawiać damy swoją rozmową.

Opowiadał o swojej przeszłości, o miłosnych przygodach i o bohaterskich czynach przy zdobywaniu serc niewieścich. — Anielcia czerwieniła się ze wstydu, Rozyta jednak słuchała z wielkiem zainteresowaniem.

„Na Boga, jak się to skończy!“ szepnęła Anielcia swojej przyjaciółce po upływie kwandransu; „z tym Rosjaninem nie zdołamy przeprowadzić planu naszej ucieczki. Czas mija, a Filemon Arbuckle rozpoczął pewnie za nami pościg“.

„Czekaj jeszcze kilka minut“, odparła Rozyta cichym szeptem, „musimy stracić tego niepowołanego towarzysza. Ah, ten młody Rosjanin musi ustąpić nam z drogi. Anielciu, bądź gotową i na dany znak wbij ostrogę w słabiznę muła!“

„Co za wspaniała noc księżycowa“, rzekła do Grzegorza Slatkowa, „cały las kąpie się w magicznem świetle nocy. Panie Grzegorzu, widzi pan te cudowne anemony; przypominają mi kwiat lotosu. Może pan będzie tak łaskawy i zerwie mi kilka kwiatów?“

„Z całą przyjemnością“, odparł usłużny Rosjanin, bez namysłu, „proszę tylko o łaskawe przytrzymanie konia. Kupiłem go niedawno temu na targu w Santa-Fee. Każdy zazdrościł mi tego kupna!“

Grzegorz zsiadł z konia. Podał Rozycie cugle i przymocował swoją strzelbę do siodła.

„Gdzie rosną anemony?“ zawołał. „Czy nie tam w tem miejscu?“

„Nie, panie Grzegorzu, trochę dalej. Tam, koło tych krzaków. Widzi pan? Będzie stąd jakie pięćdziesiąt kroków“.

„Ah, tam! Dobrze, wrócę za minutę“, odparł Grzegorz i pobiegł ku krzakom, gdzie rosły wspaniałe anemony, wyglądające wprost uroczo w bladem świetle księżyca.

„Anielciu“, szepnęła Rozyta w tym momencie, „siadaj prędko na konia Rosjanina i jedź co sił starczy, — za chwilę dogonię cię!“

Anielcia zesunęła się cicho z muła. Włożyła nogę w strzemię i po chwili siedziała na końskiem siodle.

„Z Bogiem“, zawołała Rozyta, „ruszaj i nie oglądaj się za nic w świecie“.

Anielcia puściła konia kłusem. Szlachetne zwierzę spięte ostrogą, wyciągnęło nogi i rzuciło się naprzód galopem.

„Zerwałem“, — zawołał równocześnie Grzegorz z krzaków, „przyniosę pani duży bukiet“.

Nagle rozległ się strzał. Anielcia obróciła się cała przestraszona, sądząc, że Rozyta popełniła jakiś straszny czyn. Dzięki Bogu, przyjaciółka nie splamiła swoich rąk ludzką krwią; zastrzeliła tylko muła. Anielci było żal biednego zwierzęcia, które jej oddało tak wyśmienite usługi, jednak z drugiej strony

przytomność umysłu i rozwaga przyjaciółki zasługiwały bezwarunkowo na pochwałę.

Widocznie Rozyta miała zamiar pozbawić Rosjanina sposobności do dalszego pościgu.

Muł, trafiony kulą w głowę, zachwiał się i padł martwy na ziemię. Grzegorz, który stał w krzakach i zrywał anemony, obrócił się i zawołał:

„Jeleń, — jeleń?"

„Nie, tylko osioł", odparła Rozyta złośliwym półśmiechem.

Równocześnie wskoczyła na swojego muła i ruszyła za Anielcią.

Słyszała za sobą krzyk, przekleństwo i groźby młodego Rosjanina, który znalazł się nagle w niezbyt przyjemnem położeniu, pozbawiony strzelby i konia.

Rozyta naglila Anielcię, by nie oszczędzała sił konia, ponieważ jej muł był wytrwałym i szybkim biegunem i trzymał się równo z koniem.

„Co pocznie teraz ten nieszczęśliwy człowiek?" zapytała Anielcia, „jeszcze zabłąka się w lesie, nie mówiąc już o drapieżnych zwierzętach."

„To nas nic nie obchodzi", odparła Meksykanka, wzruszając ramionami, „troszczmy się o własne życie. Dlatego nie możemy zważać na niego. Zresztą bądź spokojna o Grzegorza. Z tego miejsca nie ma daleko do kolonji Arbuckla. Lecz nawet gdyby go spotkało jakie nieszczęście, gdyby go napadł niedźwiedź albo puma, to nie miałabym nad nim najmniejszej litości, ponieważ jestem przekonana, że to zły człowiek."

Anielcia musiała w duszy przyznać słuszność przyjaciółce.

Nie zdradziła się jednak ani jednem słówkiem, że zna Grzegorza z Rosji. Chwaliła tylko konia, który pędził jak huragan. Był to kasztan z jasną grzywą, pięknie zbudowanem ciałem, i przedewszystkiem, odznaczał się wytrwałością w biegu.

„Chociaż konie wogóle nie są drogie w Meksyku", rzekła Rozyta, to jestem przekonana, że ten rumak kosztował ładną sumkę. W Santa-Fe płacą zwykle pokaźne kwoty za dobre konie. W jaki sposób przyszedł Grzegorz do tych pieniędzy? Zapewne okradł Filemona Arbuckle przy każdej sposobności."

Minęły dwie godziny; nasze znajome jechały ciągle naprzód. Rozyta oddawała się różowym nadziejom, że plan ucieczki powiedzie się znakomicie.

„Gdyby Arbuckle był zarządził pościg", przemówiła do swojej przyjaciółki, „w takim razie wpadłby już na nasze ślady. Zapewne wiedział zaraz, żeśmy się udały w kierunku do Santa-Fee. Może nie zauważył dotychczas naszej ucieczki, albo też zrezygnował z pościgu."

Równocześnie dał się słyszeć odgłos końskich kopyt. Rozyta ściągnęła cugle i dała Anielci znak, by zrobiła to samo.

„Ktoś nadchodzi", odezwała się po chwili milczenia, „zawcześnie tryumfowałam, patrz, jak się tam w krzakach coś rusza. Zapewne ludzie Arbuckla. Naprzód, kochana przyjaciółko, powinnyśmy drogo sprzedać nasze życie. — Jesteśmy stracone, jeżeli wpadniemy w ręce tego potwora. Nie będzie nas oszczędzał, wiedząc dobrze, żem zwierzyła przed tobą tajemnicę jego zbrodni. Nie ulituje się więc nad nami i strąci nas w przepaść doczesnej nędzy."

„Będziemy walczyć", zawołała energicznie Anielcia i przygotowała strzelbę do strzału.

W krzakach coś zaszeleściało, — z gęstwiny wyłoniły się zwierzęta, — na drodze było widać czterech jeźdźców.

Rozyta wydała radosny okrzyk; nie był to ani Arbuckle, ani nikt z jego otoczenia. Rozyta poznała z ubrania, że ci ludzie mieszkają w pobliżu Santa-Fee.

„Dwie kobiety", zawołał jeden z jeźdźców, odznaczający się długą, siwą brodą, „rzadki widok w leśnej puszczy."

„Bądźcie pozdrowieni", rzekła Rozyta, „mamy zupełnie przyjacielskie zamiary i cieszymy się z waszego spotkania w puszczy. Możemy wam zaufać? Daleko jest stąd do Santa-Fee?"

Tymczasem zbliżyli się jeźdźcy. Rozyta i Anielcia podjechały również naprzód, tak, że między obydwoma grupami, które stały naprzeciwko siebie, oddalenie nie wynosiło więcej aniżeli dziesięć kroków.

W tej chwili krzyknął groźnie jeden z mężczyzn, — był to najmłodszy jeździec o rycerskiej postawie, — równocześnie położył jedną rękę na ramieniu Anielci, która siedziała spokojnie na koniu i zawołał:

„Ojcze, nie poznajesz? Na Boga, nie jestem James Rudly, jeżeliśmy nie złapali koniokrada. Wprawdzie siedzi na nim złodziejka, ale to niema nic do rzeczy. Ojcze, to ten sam koń, którego ci skradziono z pastwiska."

Zakotłowało się w małej karawanie, dzikie postacie pochwyciły za strzelby, które były przymocowane do siodeł.

Rozyta i Anielcia zobaczyły przed sobą cztery czarne lufy.

„Stójcie", zawołał głośno stary Rudly, „stójcie, a nie, to pociągniemy za kurek i przeszyjemy kulami wasze ciała jak sito. — Złaź z konia", — to słowa odnosiły się do Anielci, — „i pokaż nam rumaka. James, uważaj na kobiety. Jeżeli zauważysz, że będą chciały uciekać, to strzelaj bez pardonu."



Wiosna w lesie. Czytelnikowi nie trudno chyba odgadnąć, że w strumyku przegląda się pliszka szara, ptak, często spotykany w pobliżu wód i łąk.

Anielcia siedziała bez ruchu na siodle, jakby nagle przemieniła się w słup soli. Niewyraźne przeczucie mówiło jej, że ci ludzie posądzają ją o kradzież.

Zamieniła szybkie spojrzenie z Rozytą i zauważyła z bolesnem zdziwieniem, że jej przyjaciółka była blada jak trup i patrzyła niespokojnie na farmera.

Młody kolonista zeskoczył z konia. Zbliżył się do Anielci i położył swoją ciężką rękę na jej kolanie.

„Złaź", rozkazał, „złodziejko, jeżeli nie chcesz, bym cię ściągnął!"

Lecz Anielcia ociągała się i spoglądała z przerażeniem na młodego mężczyznę, który wreszcie pochwycił ją za nogi i ściągnął z konia.

Anielcia upadła na leśną murawę i gorzko zapłakała. Klęczała na kolanach i patrzyła bezmyślnie na mężczyzn, których posępne twarze nie zwiastowały nic dobrego.

„Słuchajcie, mężowie z Nowego Meksyku", odezwała się Rozyta i przerzuciła strzelbę przez głowę, „oh, Bóg świadkiem, jesteśmy porządnemi kobietami! Zrobiliście krzywdę tej dziewczynie. — Domyślam się, o co ją podejrzywacie. Przysięgam wam jednak, że to podłe, nikczemne podejrzenie, wyciskające na człowieku piętno hańby, pozbawione jest wszelkiej podstawy."

„Tylko to?" zaśmiał się stary Rudly, „tylko piętno hańby? Wyglądasz na Amerykankę i zapewne wiesz, jaką karę nakładają Zjednoczone Stany za kradzież koni."

„Śmierć!" odparła Rozyta, nie namyślając się ani chwili, „koniokrad ponosi karę śmierci bez wytoczenia procesu, — nikt go nie przesłuchuje, każdy spełnia na nim sąd doraźny. Do tego jednak nie przyjdzie, — nie, Bóg was powstrzyma od czynu, który nie byłby niczem innem, jak zwykłem godnem potępienia morderstwem."

„Oho, mój gołąbku, mówisz tak, jakbyś była pewną twojej sprawy", zawołał stary Rudly, „lecz ja i moi sąsiedzi, którzy mi towarzyszą w pościgu za złodziejem, jesteśmy wręcz przeciwnego zdania od ciebie i twojej przyjaciółki.

— Pokażcie dowody, żeście nabyły tego konia w legalny sposób. W takim razie Bóg z wami! Nie będziemy was dłużej zatrzymywać, nie mamy bowiem dużo czasu do stracenia a i tak przeszło nam już pół nocy z powodu poszukiwań za tym złodziejem, który ukradł konia z naszego pastwiska. Chcemy wracać do domu, — przedtem jednak musimy wyświetlić całą sprawę.“

„Tylko prędko“, zawołał jeden ze sąsiadów, „powiedz nam, kto ci sprzedał tego konia. Będziemy badać, czy twoje zeznania są prawdziwe. Jeżeli sprawdzą się wasze słowa, w takim razie otrzymacie wolność i nie spadnie wam ani włos z głowy.“

„Posiadamy tego konia dopiero od kilku godzin“, odparła Rozyta, „nie kupiłyśmy go wcale, lecz zdobyły w dziwny sposób.“

„Co słyszę! — Nie kupiła pani tego konia?“ zawołał młody Rudly, który trzymał ciągle w pogotowiu strzelbę i śledził każdy ruch Anielci, „wolno wiedzieć, w jaki sposób przyszła pani w posiadanie tego konia?“

„W lesie spotkałyśmy mężczyznę“, odparła Rozyta, „był to Rosjanin, robotnik Filemona Arbuckle, którego nazwisko, jeżeli się nie mylę, jest wam dobrze znane.“

„Któżby nie znał Filemona Arbuckle“, odparł stary kolonista, „porządny człowiek! Jeżeli on się wstawi za wami, otrzymacie wolność.“

„Ów Rosjanin ofiarował nam swojego konia, ponieważ nasz muł został śmiertelnie raniony przypadkowym strzałem ze strzelby. Rosjanin poszedł pieszo do osady Arbuckla. Znajdziecie go tam, — zapewne potwierdzi wam moje zeznanie.“

„Dobrze!“ zawołał stary Rudly, „zobaczymy. Naprzód, towarzysze, zaprowadzimy te kobiety do osady Arbuckla. Jeżeli to prawda z tym Rosjaninem, to już pomówimy z nim kilka słówek i zażądamy wyjaśnienia, gdzie kupił tego wierzchowca.“

„Ojcze“, odparł młody Rudly, „i ty wierzysz temu, co ci opowiedziała owa kobieta? Przypadkowo wystrzeliła strzelba, — przypadkowo otrzymał muł ranę, — przypadkowo spotkały w lesie Rosjanina, zatrudnionego u Filemona Arbuckle, — i przypadkowo dał im kasztanka, który jest zupełnie podobny do naszego. Za dużo przypadków: — nie wierzę ani słowa.“

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 12 kwietnia 1936 r.

9.00 Audycja poranna 10.05 Transmisja nabożeństwa z Poznania 12 03 „Winszowanie radjosłuchaczom" 16.15 „Wielkanoc" — opowiadanie dla dzieci 16.30 Muzyka taneczna 17.30 „Mieszanka dla kanarków" — Wielkanocna audycja 13.05 1000 taktów muzyki — wesoła audycja muzyczna 18.00 Pół godzinki z Wiednia 18.30 „Święcone u J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki" 19.10 Muzyka salonowa i lekka 20.00 Koncert solistów 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 21.00 Muzyka polska 21.15 „Na wesołej lwowskiej fali" 22.00 „Kiedy kwitną fjołki" — koncert.

Poniedziałek, dnia 13 kwietnia 1936 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Utwory Camila Saint-Saensa 10.30 Nabożeństwo z Kościoła Św. Krzyża w Warszawie 12.03 Przegląd teatralny 12.15 „Przy świątecznym stole" — wesoły poranek muzyczny 13.55 „Śmigus w Benjaminowie" — Felicjana Sławoj-Składkowskiego 14.17 Muzyka salonowa 15.00 „Łałymniki — słuchowisko 15.25 Muzyka 15.45 Gawęda prof. Stefana Biedrzyckiego — Wiosna idzie 16.00 Recital fortepianowy H. Kalmanowiczówny 16.30 Jak to dawniej bywało" — słuch. dla dzieci 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Siuda-baba — słuch. regionalne 19.00 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 19.05 Wiadomości sportowe 19.10 Zespół salonowy Pawła Rynasa 19.55 „Sewida bez walki byków" — feljeton 20.15 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 „Czy ostateczny, czy nygus, uśmiecha się na śmigus" — dyngusowe wiadro melodyj 21.55 Wiadomości sportowe 22.15 „Dyngus obrzędowy" — audycja muzyczna 22.30 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 14 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.10 Chwilka gosp. domowego 13.15 Z rynku pracy 15.30 Muzyka lekka 16.10 Skrzynka P. K. O. 16.25 Recital śpiewaczy St. Znicza 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Skarby Polski" — Hodowlane bogactwo Polski — odczyt 17.15 Koncert muzyki duńskiej 18.00 Skrzynka językowa 18.10 Arje i pieśni Mozarta w wyk. Cecylji Węgrzynowskiej 18.30 „Czy istnieje szary człowiek" — szkic literacki 19.25 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka 20.00 „Likwidacja żartoteki" (ostateczne rozwiązanie konkursu na najlepszy żart) 20.10 Koncert symfoniczny z Katowic 22.30 Muzyka taneczna 22.45 „Huculszczyzna" — odczyt 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 15 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Pielęgnacja skóry na wiosnę 12.30 Walce Waldteufla — w wyk. Orkiestry 58 pp. 13.10 Chwilka gosp. domowego 15.15 Wiadomości o eksporcie polskim 15 20 Przegląd giełdowy 15.30 Muzyka salonowa 16 00 Rozmowa Majsterklepki z Leniwcem 16.20 „Z Ogrójcem" — audycja folklorystyczna 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Dyskutujmy": Czy koniecznie musimy utrudniać sobie życie 17.20 Jazz na fortepiany 17.50 Książka i wiedza 18.00 Wolfgang Amadeusz Mozart: Kwartet smyczkowy C-Dur 18 30 „Skrzynka ogólna" 19.25 „Gospodarstwo przodownicze" — pogadanka 19 35 Wiadomości sportowe 19 45 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka salonowa 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 32-ga audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.40 Trud pisarza — szkic literacki 21.55 Pogadanka aktualna 22.05 Sygnały myśliwskie 22.20 Muzyka taneczna 23 30 Pogawędkę w języku angielskim wygł. Jerzy Podoski.

Czwartek, dnia 16 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powsz. 13.10 Chwilka gosp. domowego 15.20 Przegląd giełdowy 15 30 Koncert Klubu Mandolinistów pod dyr. Szymborskiego 16 00 „Gorzkie migdały" — opowiadanie dla dzieci 16 15 Koncert Orkiestry Kameralnej Adama Hermana 16.50 Cała Polska śpiewa 17.05 Mieszczaństwo warszawskie — odczyt 17.20 Recital śpiewaczy Marji Trampczyńskiej 17.50 Pogadanka aktualna 18.00 Recital fortepianowy Sigfrida Grundeisa 18 30 Film, plastyka, architektura 18.40 Jak spędzić święto? 19.25 Pogadanka praktyczna o lnie 19 35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20 00 Gdyśmy byli studentami — audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrona przeciwlotniczo-gazowa 21 00 Premiera słuchowiska oryginalnego pt. „Narodziny bohatera" 21.35 3-cia aud. z cyklu „Stanisław Moniuszko — pieśniarz" 22 00 Recital skrzypcowy Ignacego Weisenberga 22.30 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 17 kwietnia 1936 r.

6 30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.40 Koncert zespołu Haliny Adamskiej 13 15 Z rynku pracy 15.30 Pół godz. w Wiedniu 16 00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16 45 „Szon. pracz, mój syn i ja" — opowiadanie dla dzieci 17 00 Lasy polskie — odczyt 17.15 Minuta poezji 17.20 Recital fortepianowy — Wykonawca Paul Suberts 17.50 Poradnik sportowy 18 00 Muzyka lekka 18.30 Pogadanka aktualna 18 50 Pogadanka społeczna 19.25 Skrzynka rolnicza 19 35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śniegowy z Krakowa 19 50 Biuro Studiów rozmowa ze słuchaczami P. R. 20.00 „Zaporożeniec za Dunajem" — ukraińska opera komiczna 21.15 Dziennik wieczorny 21.25 Obrazki z Polski współcz. 21.30 Koncert poświęcony twórczości Emila Młynarskiego 22 30 Skrzynka techniczna 22.50 Muzyka taneczna z kawiarni Cafe-Club.

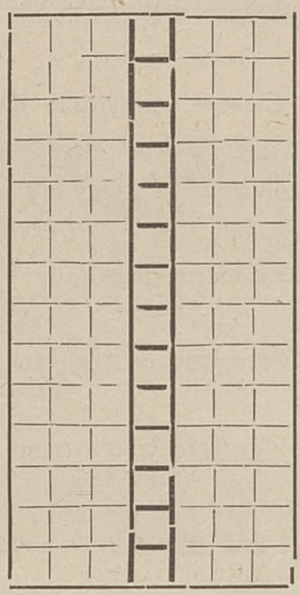
Sobota, dnia 18 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Przegląd rolniczej prasy 12.25 Muzyka 13.10 Chwilka gosp. domowego 14 30 Trio salonowe P. R. 15.00 „Wielkanocne wspomniania sybirskiego zesłańca" 15.15 Nasz handel morski 15.20 Przegląd giełdowy 15.30 Muzyka baletowa 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 „Trzy małe świnki" — radjo — film dla dzieci 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Kiliński" — odczyt 17.15 Nowości z płyt 17.45 „Świat naszych roślin": „Krokus" — pogadanka 17.50 „Mówimy o prowincji": „Inicjatywa regjonalna" — pogadanka 18.00 Koncert solistów 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Przemówienie Naczelnego Dyrektora R. Starzyńskiego z okazji 10-lecia Polskiego Radja 19.50 Pogadanka dr. Marjana Stępowskiego 20.00 „Mozaika muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.00 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą — „Polacy z zagranicy na cenzurowanem". 21.30 Wydział Muzyczny P. R. zaprasza wszystkich radjosłuchaczów na bankiet z okazji 10-lecia Polskiego Radja 23.05 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF ZOOLÓGICZNY

uł. Leonard Zorawowicz — Mołodeczno



W powyższą figurę wpisać poziomo 14 wyrazów (nazw zoologicznych), siedmioliterowych, o podanem niżej znaczeniu. Rząd środkowy, oznaczony, da rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze: 1. Ptak z rzędu siewkowatych, 2. Ptak wróblowaty 3. Ptak kaczkowaty 4. Ptak płetwonogi 5. Ryba łosiowata 6. Ptak indyjski 7. Rodzaj ryby jasno-żółtej barwy, zamieszkującej Morze Śródziemne 8. Owca rasy hiszpańskiej 9. Duży ptak z rodzaju grzebiących 10. Rodzaj kraba. 11. Ryba wód słodkich 12. Ptak z rodzaju mew 13. Ptak z rodzaju pełzaczy 14. Ryba ślizowata.

ROZSYPANKA

uł. „Ka-zet“

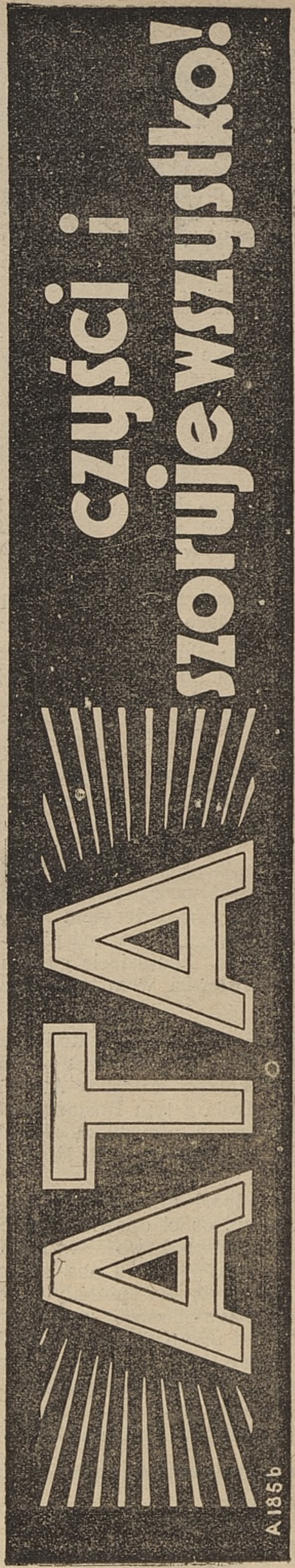
Wa — now — czę — nicz — lu — ka — la — mil — no — wi — wo — war — san — o — cho — sto — wo — myśl — do — wo — e — o — ce — strów — no — i — blin — sza — to — to — wa — ja — drów — a — lek.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 17 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 13 „Moich Powieści“: Konikówka literacka: Biada kto upadł w drodze i jęczy napróżno, biada kto sakwę rzucił przed czasem podróżną i kto z ziemi wołał a nie z nieba! Nam wytrwać, iść i skonać błogosławiąc trzeba. Zagadka: 1. Para 2. kara 3. czara 4. gwara.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Hala Nowakówna — Żnin, Drzycimski Edmund — Bukowiec Pom., Karol Kulbaka — Wola Koszucka. Eugenjusz Tomczak — Żnin, Jadwiga Arendówna, — Bydgoszcz, Ala Wilgocka — Milanówek, Eryk Zawadowicz — Lwów, Anna Złotogórska — Koźmin,. Wala Jantochówna — Mielec.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Annie Złotogórskiej z Koźmina i Eugeniuszowi Tomczakowi ze Żnina.



PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie